CZWARTEK
Nr 11 85-01-24 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH



HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW



Fot. W. Wróblewski

W „DELCIE" znów rewelacja!

W grudniowym numerze tego miesięcznika możesz znaleźć nowy kalendarz wydrukowany na dwunastościanie foremnym. Oczywiście w „Delcie" wydrukowana jest siatka tego dwunastościanu, a samą bryłę należy, po wycięciu z numeru, skleić samodzielnie. Skleić, albo i... nie skleić, a mimo to mieć dwunastościan, który można spokojnie przechowywać na przykład... w książce! Po otwarciu książki wielościan sam „wstanie"...

Jak to zrobić?

Przed wycięciem siatki należy wyjętą z „Delty" stronę 15 nakleić na tekturkę. Przyjrzyjmy się teraz jak wygląda wydrukowana siatka dwunastośdanu. Składa się on z dwóch części, pięciokąta „styczniowego" otoczonego pięcioma pięciokątami i pięciokąta „majowego" także otoczonego pięcioma pięciokątami. Te dwie części wycinamy — obcinając wypustki służące do sklejenia wielościanu, które w tej wersji nie będą nam potrzebne — i lekko zginamy wzdłuż linii. Potrzebna będzie jeszcze niezbyt gruba gumka o długości około 25 cm. Może być na przykład wycięta ze starej dętki do roweru, ale żeby miała odpowiednią długość, należy ją wyciąć ze skosu.

Teraz patrzymy na zdjęcie obok. kładziemy jedną część siatki na drugą, oplatamy gumką, puszczamy i dwunastościan wstaje o własnych siłach!

(PROOF)

PS: Przypominamy: w dwunastu najbliższych numerach Delty-1985 znajdziecie dwanaście części atlasu nieba, jak również tory planet i tor komety Halleya!

Fot. Maryla Zieleniewska



JAK TO NAZWAĆ PO POLSKU?

Na razie wszyscy mówią „walkman". Na razie jest u nas trudno dostępny, a więc stanowi przedmiot ogólnego pożądania.

Któż by nie chciał posłuchać muzyki w kolejce. w zatłoczonym autobusie (muzyka w dodatku - „łagodzi obyczaje"). Walkman waży kilkanaście dekagramów i co ważne — nie przeszkadza innym.

Ciekawe czego słucha ten spacerujący z ojcem chłopak? Może uczy się obcego języka?

Fot. Maryla Zieleniewska

- Zima sroży się i utrudnia nam wykonywanie obowiązków!
- Apeluję do starszych koleżanek, kolegów oraz kierowców!
- Pomagajcie dzieciom w dotarciu do szkoły!

ZIMA NIE ŻARTUJE!

Piszę w sprawie, która nie może być przez kogokolwiek lekceważona, a w szczególności przez kierowców. Jestem uczennicą LO w Obornikach Wlkp., a mieszkam o 4 km od tego miasta na osiedlu Kowanówko.

Jest u nas szkoła podstawowa obejmująca dwie klasy pierwsze i drugie oraz „zerówkę". Szkoła ta znajduje się przy szosie i dzieci idące lub wracające ze szkoły mają drogę dosyć niebezpieczną. Nie zawsze jest możliwe, aby dzieci były odprowadzane lub odbierane przez rodziców.

Do napisania tego listu skłonił mnie wypadek, mający miejsce w pobliżu tej szkoły. 8-letni chłopiec wracający do domu brzegiem szosy, wpadł pod koła ciężarówki. Wypadek ten do głębi wstrząsnął mieszkańcami naszego osiedla.

Chciałam zaapelować do kierowców i czytelników „Świata Młodych", aby starali się pomagać naszym młodszym kolegom i koleżankom. Kierowcy! Jeżeli ktoś chce dojechać do szkoły autostopem - zatrzymajcie się i z uśmiechem zabierzcie gromadkę dzieci. Koledzy i koleżanki! Jeżeli możecie, a na pewno potraficie, zorganizujcie pomoc dla młodszych, szczególnie przy bardziej niebezpiecznych odcinkach drogi. Apeluję w tej sprawie do wszystkich i wierzę, że ten apel nie zostanie zlekceważony zwłaszcza teraz, kiedy sroga zima bardzo utrudnia dzieciom dotarcie do szkoły, a po lekcjach powrót do domu.

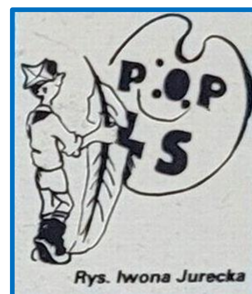
Ala z Osiedla



KORESPONDENCI HSI „Świata Młodych" GOŚCILI W KIELECKIM „PLASTYKU"

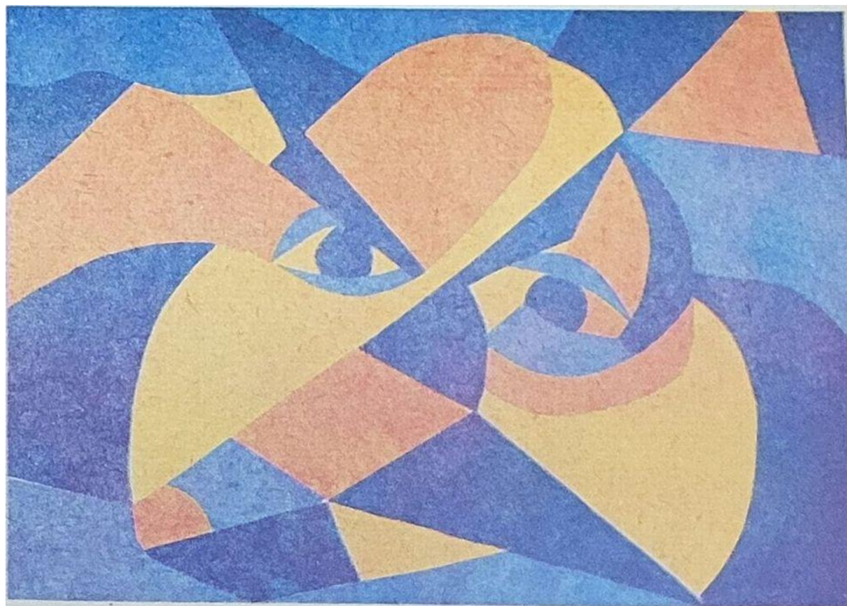
... czyli Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych im. Józefa Szermentowskiego. Jak wiadomo wiernym Czytelnikom czwartkowej rubryki HSI, raz na kwartał wyznaczamy sobie spotkanie w miejscu zamieszkania któregoś z naszych korespondentów. Tym razem zagnało nas do Kielc, gdzie w tamtejszym PLSP uczy się światomłodowa korespondentka, Iwona Jurecka. Uwielbia ona wprost swoją szkołę i koniecznie chciała ją nam zaprezentować.

Tak więc, dzięki gościnności dyrekcji liceum, jej pedagogów i uczniów przez dwa grudniowe dni okupowaliśmy tamtejszy internat. Program spotkania był bardzo ciekawy i jak zwykle pękał w szwach. W piątkowy wieczór, tuż po przyjeździe czekał nas kominek wróżb na wesoło, przygotowany przez harcerzy z „Plastyka", i wzajemna prezentacja: skąd jesteśmy, czym się zajmujemy, itp. W sobotę rano spotkanie z dyrektorem PLSP, Tadeuszem Majem, który na slajdach zaprezentował nam prace dyplomowe swych wychowanków, a potem oprowadził po szkole i jej pracowniach: rzeźby, tkactwa, meblarstwa. Następnie był krótki spacer do centrum Kielc, po czym kolejne spotkanie z najwspanialszym belfrem, jak nazywają go uczniowie, prof. Romanem Harajdą, nauczycielem rysunku, jak się okazało znakomitym gawędziarzem. Zaplanowane na godzinę spotkanie przeciągnęło się do prawie dwóch i w rezultacie z językami do kolan, zdyszani okropnie, dopadliśmy drzwi kieleckiego teatru, gdzie właśnie rozpoczął się spektakl „Dwa teatry". (Przedstawienia teatralne to już tradycja, żelazny punkt każdego naszego zlotu). Niedziela była dniem pożegnań. Jeszcze ostatnie rozmowy, uzupełnianie notatek do zbieranych materiałów, kilkakrotne wycieczki na dworzec, by odprowadzić najwcześniej wyjeżdżających, i obietnice spotkania już niebawem, bo pod koniec lutego, prawdopodobnie w Katowicach.



Rys. Iwona Jurecka

Przez dwa dni nasi korespondenci myszkowali po internacie, naprzykrzali się jego mieszkańcom - uczniom i wychowawcom, wtykali swe ciekawskie nosy, gdzie trzeba i nie trzeba — za co **przepraszamy.** Plon tych penetracji prezentujemy częściowo na str. 2, resztę za tydzień. Zaś **dyrektorowi „Plastyka", jego nauczycielom i uczniom za serdeczną gościnę – DZIĘKUJEMY! (mj)**



Wycinanka Małgosi Nowak. Temat: koło barw, kontrast koloru



WYOBRAŹNIA I RZECZYWISTOŚĆ

- Czekaj, zanim zaczniemy ci opowiadać o nas i naszej szkole, powiedz jak wyobrażałaś sobie ludzi z „Plastyka"...

Siedzimy w pokoiku intemackim dziewcząt z PLSP. Na stole porozkładane zaczęte szkice, duży plakat na ścianie z jakąś roześmianą dziewczyną, kwiatek i sowa uplecione ze sznurków. Wszędzie pełno ołówków, farb, pędzli i kredek.

- Właściwie, to nigdy nie myślałam o tym - zaczynam niepewnie - ale plastyk kojarzy mi się z człowiekiem beztroskim, olewającym nieco świat, a przy tym lekko zarozumiałym i pewnym siebie. Czy tak?

- Masz trochę racji, ale... Ale zacznijmy od „podszewki", czyli:

SZKOŁA

Gośka: - Byłam nią oczarowana. Szczególnie imponowali mi ludzie — dziwacznie poubierani, z pogardą patrzący na świat, tacy dorośli, tacy inni... Powiedziałam sobie, że muszę się tu dostać albo... się powieszę, Żyję, a więc dostałam się. Dostałam się - i pękła mydlana bańka marzeń.

Nawet ubrać się zbyt wyzywająco nie można. Znam jedną dziewczynę, która prawie codziennie bywa „na dywaniku" u dyrektora. Właśnie za ciuchy. Trzeba mieć naprawdę stalowe nerwy, by trzymać styl. Denerwuje mnie to, że większą wagę przykłada się tu do przedmiotów ogólnych niż do zawodowych. I to jest niesprawiedliwe. Osoby bardzo dobre z przedmiotów plastycznych, a słabe z ogólnych uważa się za nic. Chyba, że uczniowi uda się wystawa własnych prac, no to już się inaczej na niego patrzy.

Przyszłam do tej szkoły, bo interesuje mnie rysunek. Przez dwa lata podstawówki chodziłam na kółko plastyczne, ale to jeszcze nie było to. Dopiero moja nauczycielka plastyki zaraziła mnie tak naprawdę malarstwem.

Anka: - Strasznie nie chciałam iść do ogólniaka. Najpierw myślałam o szkole muzycznej. Potem mi coś odbiło i napisałam do Szkoły Morskiej, Odpisali, że dziewczyn raczej nie przyjmują, a moja wada wzroku wyklucza to całkowicie. No, to pomyślałam o „Plastyku".; I jestem. Ogólniak wydaje mi się przy naszej szkole taką dużą podstawówką. U nas jest inaczej. Sam styl ubierania się, atmosfera. Ci ze starszych klas bardzo nam na początku pomogli, a my w tym roku też zajęliśmy się pierwszakami, żeby nie czuli się źle. Wiadomo, jakiego pietra ma człowiek na początku.

Małgośka: - Każdy stara się tu być w pewien sposób oryginalny. Ale trzeba liczyć się z profesorami. Coś nie tak i opinia leci. Ogólniak, bez zamiaru dalszych studiów, wydał mi się stratą czasu. Od dziecka lubiłam rysować. Najpierw jakieś abstrakcyjne bazgroły po ścianach, potem królewny, no i jestem w „Plastyku".

Ania II: - O szkole dowiedziałam się z gazety. Był tam reportaż i zdjęcie dyrektora, który od razu wydał mi się szalenie sympatyczny. Och, jak bardzo chciałam się tu znaleźć. Przyjechałam do Kielc na konsultacje i wyjechałam jako kandydatka na meblarstwo. Dlaczego akurat meblarstwo? Jestem bardzo nieśmiała i nie miałam pojęcia; że istnieją tu różne kierunki artystyczne. Kiedy więc mnie zapytano do jakiej klasy chciałabym się dostać: tkactwo, ceramika czy meblarstwo, blada z przerażenia wyszeptałam „meblarstwo". Dziś nie żałuję tego. Wprost kocham moją klasę. Zawsze dzieje się w niej coś fajnego. Z początku były jakieś nieporozumienia, ale teraz jest cudownie. Do nauczycieli też nie mam żadnych uwag. Zauważyłam, że u dobrego ucznia nauczyciele tolerują nawet dziwactwa w ubiorze. Ci słabsi mogą mieć nieprzyjemności. Ale tak bywa chyba w każdej szkole.

DOM

Gośka: - Wpadam do domu na niedzielę. Buźka, kubeł ze śmieciami, ciepły obiadek i tyle. Mama czasem nie może się nadziwić jakimś szkaradnym - jak mówi - koralikom, które noszę na szyi. Sama je zrobiłam, taka moda. Myślę, że w domu mniej bym się uczyła, bo do sklepu trzeba lecieć, a to poodkurzać, tutaj dopingują mnie koleżanki; jak któraś zakuwa staram się nie być gorsza.

Anka: - Mama zostawiła mi wolną rękę w wyborze szkoły. Nie chciała bym miała kiedykolwiek żal do niej, jeśli już, to tylko do siebie, i jestem jej za to bardzo wdzięczna.

Małgośka: - Było bardzo dużo gadania, że się zdemoralizuję, zejdę na złą drogę. To wina sąsiadek, które zawszo wszystko wiedzą i dbają o moralność nie swoich córek. Byłam wściekła. Ale poszłam do PLSP i jakoś z dobrej drogi nie zboczyłam.

SAMOTNOŚĆ

Gośka: - Gdy potrzebuję być sama, po prostu urywam się z internatu. Jeśli akurat nie wolno wychodzić, wychodzę oknem (pokój na parterze). Z początku włóczyłam się bez celu po ulicach, a teraz znalazłam sobie miejsce, gdzie mogę naprawdę być sama ze sobą.

Anka: — Trudno być w internacie samemu. Co chwila ktoś wpada do pokoju „tylko na chwileczkę" i przesiedzi... dwie godziny. Zresztą, przyzwyczaiłam się do tego.

Małgośka: - Mogę się uczyć, gdy ktoś drugi jest w pokoju. Kładę zeszyt na łóżkoi staram się skoncentrować. Dzięki temu człowiek uczy się opanowywać swoje humory, a to się w życiu przydaje.

Ania II: - Samotność w internacie? To normalne. Tak jakbyś szła ulicą pełną ludzi. Mijają cię, potrącają, a tak naprawdę jesteś przerażająco sama. I tutaj też tak jest. Nie muszę szukać samotności, bo ona mnie otacza.

●

- Wiesz, wydaje mi się, że ta szkoła jest dla ucznia. Wystarczy, żeby tylko wiedział po co tu przyszedł. Znam takie osoby, które dlatego na nią się zdecydowały, że liceum plastyczne to ładnie brzmi, ale oko ludzkie rysują cyrklem. One nie mają czego tu szukać — powiedziała Małgośka, a potem chwyciła się za głowę:

- O rany, na poniedziałek mam zrobić czterdzieści szkiców! Może zechcesz mi pozować???

Iwona Jaworska
Staszów
korespondentka HSI „ŚM"



Aneta Jóźwik kl. IIIa: Studium twarzy



K. Rybczyński kl. IIIb: Szkic domowy

Internat czy dom

Internat Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Kielcach. Z miejscem tym, które było jednocześnie miejscem kolejnego spotkania grupy korespondentów HSI „ŚM", związałem się na dwa dni. Nie jest to czas dostatecznie długi, by dokładnie poznać internackie życie kieleckich „plastyków". Dlatego też ograniczę się do kilku ogólnych wrażeń, przedstawię opinie ludzi, którzy spędzili w nim rok i dłużej. Przez okres pięcioletniej edukacji w liceum jest on miejscem pobytu dziesiątków młodych ludzi. Przebywa w nim również spore grono pedagogów i wychowawców. Czym więc jest dla nich internat? Czasowym miejscem pobytu, czy czymś więcej? Czy może być drugim domem?

W zacisznym pokoju Kuba słucha właśnie przebojów „Trójki". Na ścianach kolorowe plakaty, jakieś rysunki. Kuba, szczęśliwie jest już uczniem klasy drugiej. Od początku mieszka w internacie. Jeden pokój na czterech. Dziś jest niedziela, większość osób wyjechała do domów. Zostali tylko ci, którzy mają najdalej. Czy w internacie można jakoś wyżyć? O, tak! Choć ciężko jest się uczyć. Jest mnóstwo zajęć, które odrywają od nauki. Właściwie przeznaczony jest na nią czas między 17 a 19. Są nawet specjalne sale. Jednak powszechną jest opinia, że najlepiej uczyć się we własnym pokoju. Choć właściwie - twierdzą moi rozmówcy - po 12 godzinach zajęć już niewięlu ma na to siły i ochotę. - Jak się wtedy czuję? Wcale się nie czuję - odpowiada ktoś zapytany.

Popołudnie tó również chwila dla siebie. Czasem jest to spacer po mieście, kino, teatr, lecz najczęściej trochę dobrej muzyki i odsypianie zaległości. Dzień w internacie kończy się bardzo późno. I nie zawsze zamyka go regulaminowa godzina 22, oznaczająca początek ciszy nocnej trwającej do 6 rano. Wielu uważa noc za najlepszą porę do nauki. Wychowawcy raczej się temu nie sprzeciwiają. W dość dużym natomiast stopniu utrudnia internackie życie podział budynku na dwie części, z których jedna zajmowana jest przez chłopców, druga przez dziewczęta. Przekroczenie tej regulaminowej granicy jest konsekwentnie karane. Podział taki istnieje jednak chyba w większości internatów. Oczywiście istnieje możliwość wspólnych spotkań w klubie, ale większość odnosi się do niej z umiarkowaną niechęcią.

A co należy do przyjemnej strony internatu? Wątpliwą przyjemnością jest tzw. „dywanik" u dyrektora. Sprawy konfliktowe, o ile takie zaistnieją, rozstrzygane są raczej odgórnie, właśnie przez dyrektora i wychowawców. Prawdziwą zaś przyjemnością są dyskoteki. Czas wolny spędzać można też poza terenem internatu, zostawiając odpowiedni wpis w dzienniczku wyjścia znajdującym się w portierni.

W internacie żyją też ludzie z poczuciem humoru i trudno czasem ustrzec się przed jakimś dowcipnym figlem. Częstymi stały się ostatnio przypadki wpadania różnych rzeźb do pokojów w momencie otwierania drzwi. Od dłuższego już czasu wszyscy artyści pędzla, dłuta czy ołówka starają się żyć w jako takiej symbiozie z zamieszkałymi na pierwszym piętrze artystami fortepianu, czy instrumentów dętych. Czasami jednak trudno wytrzymać.

Czego brakuje im tutaj najbardziej? – Dziewczyn – śmieją się. – Jak ten artykuł się ukaże, to nam pewnie kraty pozakładają – żartują. – O czym tu jeszcze mówić – zamyśla się Kuba. – Jak sam widzisz, życie płynie tu bardzo szybko i jest fajnie, choć zmuszeni jesteśmy uczyć się samodzielności. Ale to dobrze, bo w domu jakby tego trochę brakowało.

„Na okres nauki internat jest naszym wspólnym domem, w którym panować musi sprzyjający dobrej nauce i dobremu koleżeńskiemu współżyciu ład i porządek” – przeczytałem w obowiązującym regulaminie intemackim. Wiadomo, że tę atmosferę „ładu i porządku" tworzą zarówno uczniowie, jak i wychowawcy.

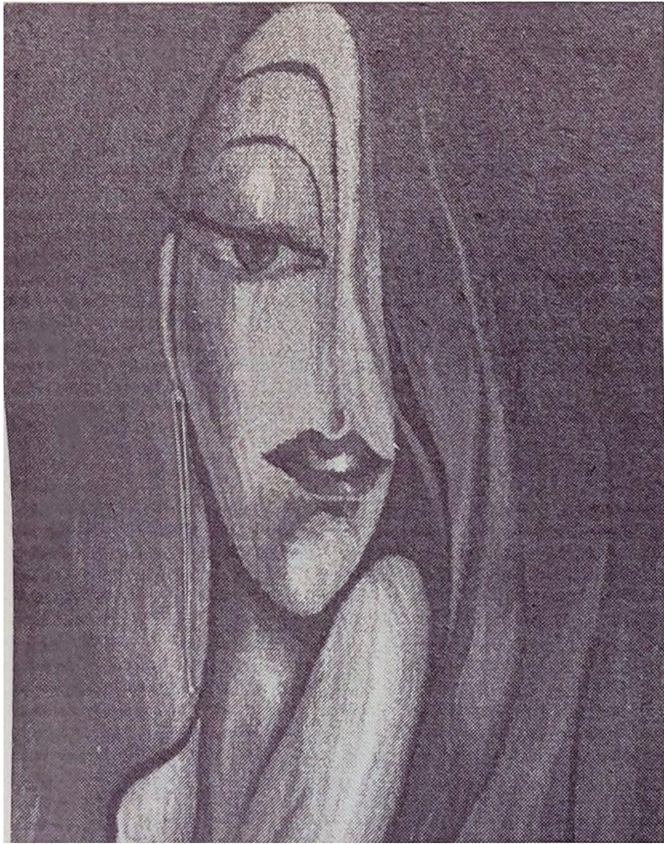
– Wiele zależy od samej młodzieży. Np. w czasie tzw. nauki własnej z którejś sali dochodzi głośna muzyka. Wiadomo – może przeszkadzać innym. Chłopcy nie reagują na prośbę nauczyciela o jej wyciszenie i mamy całkiem niepotrzebny konflikt. Współżycie w takiej gromadzie ludzkiej wymaga od wszystkich dużej wrażliwości - tłumaczy mi jedna z wychowawczyń. - Internat cechuje pewien demokratyczny styl życia. Wszystkim zapewnia się te same warunki (od lat w internacie mieszka też dyrektor szkoły). A jakie one są? Zdaniem większości – bardzo dobre. W pewnym sensie do plusów internatu zaliczyć należy to, iż w pewien, dostrzegalny sposób wyrównuje on życiowy start. Jeden z pedagogów, prof. Harajda, twierdzi, że nie ma teraz różnic - między przybyłymi z miast i wsi w ubiorze, poziomie wykształcenia, ale są dostrzegalne różnice w wychowaniu wyniesionym z domu. Przedłożeniem tego wychowywania jest internat, który uczy savoir-vivre'u opartego na podpatrywaniu, a tylko w rażących przypadkach na dyskretnym tłumaczeniu pewnych zasad. Internat nie jest tylko okresową przechowalnią, ale w zastępstwie rodzinnego domu spełnia funkcję kontrolną i wychowawczą. Podobnie jak rodzice, którzy chwalą ale i karzą, jak trzeba.

W budynku internatu PLSP w Kielcach zachwyca wprost i budzi zazdrość w przybyszu wystrój korytarzy, klubu i innych pomieszczeń. Niejeden z tych, co go oglądali chciałby mieć choć jedno z tych cudeniek, jakąś rzeźbę, tkaninę czy choćby rysunek —w swoim domu. Wszystko to jest dziełem wyłącznie mieszkańców internatu. Zapewniono mnie, że istnieje zupełna swoboda jeśli chodzi o kwestie artystyczne.

Podczas rozmowy z dyżurującą właśnie profesorką, dochodzimy do wniosku, że bardzo dodatnio na internackie życie mógłby wpływać sprawnie działający Samorząd. Niestety, takiego właściwie nie ma. A przecież to właśnie on mógłby zająć się sprawę podziału internatu na dwie części i wynikającymi stąd ograniczeniami, czy kwestią oglądania filmów po 22-giej. Zarzut wychowawczyni jest prosty: młodzież nie przedstawia żadnych konkretnych warunków, swoich propozycji, które miałyby zastąpić dotychczasowe rozwiązania. Kłopoty? Tak, jak wszędzie i my mamy drobne kłopoty wychowawcze. Ale przecież żyjemy w środowisku 200 ludzi, z których każdy posiada pewną wrażliwość i indywidualność.

Kielecki internat, w którym spędziłem dwa dni, jest jak każdy inny, pewną koniecznością. Jego stroną wspaniałą jest jednak to, że ma ambicje i podstawy by nazywać się drugim domem.

Piotr Pilawa
Krzeczyn Wielki
korespondent HSI „ŚM"
Fot. **Paweł Plerściński**



Gobelin. Praca dyplomowa z r.szkol. 81/82



O nas, czyli o zachowaniu się niektórych Polaków

Może jestem za młoda na wygłaszanie takich opinii, ale muszę, muszę i jeszcze raz muszę się podzielić swoimi uwagami na temat polskiej młodzieży. Ostatnio „Ruda” pisała (144 nr „ŚM”) o tym, że przebywała na kolonii Polonii Zagranicznej. Była przerażona tym, iż część osób spała w bibliotece, że bielizna pościelowa uboga (np. ci co spali na podłodze, mieli wąskie materace, jedną poszewkę z poduszką i koc bez poszewki). I jeszcze sprawa żywności: jedli stary chleb! „Ruda” dodaje: „ Polacy wszystko zniosą, ale najgorszy wstyd był przed Francuzami, którzy pytali czy w każdym schronisku tak jest”.

Po pierwsze: albo kolonie trzeba dobrze zorganizować, albo ich nie robić wcale! Nie możemy ciągle znosić upokorzeń. Po drugie: fakt, że przed Francuzami musieli czuć wstyd, bo jakże inaczej?!

Niestety, takie „klęski” tworzymy sami!. Bo co np. pomyśli sobie obcokrajowiec, gdy przyjedzie do Polski i zobaczy, że jego samochód otacza grupka Polaków, ciekawie zaglądających do wnętrza? Może sądzi: „Pasjonują się samochodami", lecz może też pomyśleć: „No tak, to muszą być biedacy, pewnie nigdy nie widzieli takiego sa- - mochodu.”

Niedawno byłam z klasą na wycieczce. Autobus zatrzymał się na parkingu, a my ruszyliśmy na zwiedzanie. I co zauważyliśmy?! Obok stoi włoski (czy inny) autokar - przed nim turyści zagraniczni, którzy dają... dolara (może jakiś inny. pieniądz - nie znam się!) chłopcu (lat ok. 9), który „łakomie” nastawia rękę po pieniądze!!! Dodam tylko, że nie wyglądał na biedaka - przeciwnie! Ludzie,' opamiętajcie się trochę!

„Kitty"

Mama i tata są dla nas wszystkim

Wiele osób pisze o swoich rodzicach. Często się na nich skarżą. To mnie zmobilizowało do napisania paru słów o moich rodzicach.

Matka! Wraca do domu zmęczona po całodziennej pracy, lecz zawsze uśmiechnięta. Udaje zadowoloną, ale ja czuję, że ma wiele kłopotów. Pamiętam, jak byłam mała i bardzo nieposłuszna, dostawałam wtedy nieraz lanie. Rozumowałam po dziecinnemu, że mama bije mnie za nic. Ale teraz, kiedy tak sobie myślę, to wiem, że miała rację, karcąc mnie za te występki. Pamiętam, jak kiedyś opowiadała mi wieczorami bajki, jak szeptała czule słówka na dobranoc. Mama jest dla mnie kimś niezastąpionym. Przyjaciółką, siostrą, opiekunką.

Często chcę robić tak jak ona, lecz nie zawsze mi to wychodzi. Jest dla mnie wzorem i pragnę w życiu być taką jak'ona. Dba o porządek w domu. Zawsze stara się, bym miała warunki do nauki i wypoczynku. Jest wyrozumiała. Jestem do niej bardzo przywiązana. Kocham ją. Kocham ją tak bardzo, że trudno to wyrazić. Moja mamusia...

Ojdec. Zawsze zmęczony. Zawsze pełne ręce roboty. Wstaje bardzo rano. Jedzie do pracy. Przyjeżdża na obiad, po czym jedzie na działkę. Wraca późnym wieczorem - zmęczony, spracowany. Mój brat, który jest na studiach i przyjeżdża raz w tygodniu, mówi, że co przyjedzie, to na głowie Tatusia widzi jeden siwy włos więcej. Z bratem kochamy Tatę tak mocno jak Mamę. Oboje są dla nas wszystkim.

Kinga P. Ciechocinek

Sto wierszy o kulturze

Okropieństwa karnawału -czyli ostrożnie z tradycją

Karnawał, zapusty, mięsopust - dziś używamy właściwie tylko tego pierwszego określenia i to nie w odniesieniu do konkretnego tygodnia po „tłustym czwartku", ale nazywamy tak cały radosny okres noworocznych bali i zabaw, który zamyka środa popielcowa, wypadająca w tym roku już 20 lutego.

W pobliskiej szkole podstawowej pierwsze bale już się odbyły. Skromniutkie - przy kanapkach, herbatce, ptysiu i muzyce z taśm. Trzy, cztery godziny pląsów i do widzenia.

– Czy taka potańcówka wystarczy, aby tradycji stało się zadość? - martwi się zaprzyjaźniona ze mną Anka z V b. W zeszłym roku uczestniczyła jeszcze w balu „młodszaków", jak dziś się pogardliwie wyraża, który, o zgrozo!, urządzony był przed południem. Zazdrościła wtedy tym starszym, którzy dekorowali salę gimnastyczną z myślą o szalonym wieczorze. A teraz jest rozczarowana - przygotowania przyniosły więcej emocji niż sama zabawa. - To się musi zmienić - stwierdziła więc Anka kategorycznie i zabrała się do buszowania po moich książkach, by znaleźć przepis na prawdziwie staropolskie, tradycyjne spędzanie karnawału!

Hola, hola Aniu! Nio każda tradycja powinna przetrwać wieki w nie zmienionym kształcie, choć warto o niej pamiętać, choćby dla... przestrogi. Bo, strach pomyśleć, co by to było, gdybyśmy dziś ruszyli np. na typowy kulig w stylu z przełomu XVII i XVIII w., który opisuje Jędrzej Kitowicz.

„Dwóch albo trzech sąsiadów zmówiwszy się, zabrali ze sobą żony, córki, synów, czeladź, służącą i co tylko mieli w domu żywego, zostawiając w nim tylko małe dzieci... Sami zaś wpakowawszy się na sanki, albo gdy sannej nie było, na kolaski, wózki i konie wierzchowe, jak kto mógł jechali do sąsiada pobliższego, ani proszeni od niego, ani zawiadomiwszy go. Tak go zaskoczywszy kazali dawać jeść i pić, sobie, koniom i ludziom, bez wszelkiej ceremonii, właśnie jak żołnierze, póty u niego bawiąc, póki nie wypróżnili mu piwnicy i spiżarni. Potem brali onego nieboraka z sobą,, z całą jego rodziną i ciągnęli dalej..."

Nie tylko spustoszenie kuchni groziło takiemu nawiedzonemu nieszczęśnikowi, bo powszechny był jeszcze obyczaj wynoszenia z jego domu różnych cenności, które później właściciel mógł, co prawda, wykupić, ale przez to nie sobie, a karnawałowemu grabieżcy zapewniał w nowym roku „szczęszczenie się od przybytku".

W miastach z kolei, ulice robiły się naprawdę niebezpieczne. Aby się nasycić zabawami przed okresem postu, rozmaici hulacy grasowali bezkarnie strzelając na wiwat i strasząc innych, tańcząc przy wynajętej kapeli i zaczepiając spokojnych przechodniów. Szczególnie zagrożone były panny i kawalerowie, którzy mimo iż osiągnęli odpowiedni wiek, nie spieszyli się do więzów małżeńskich. Karano ich za to srodze. Bywało, że niczego nie spodziewającą się dziewczynę opadała rozwrzeszczana gromada przebierańców i przykuwała ją bez litości do ciężkiej kłody, nie szczędząc przy tym bolesnych razów. Wstydu taka panna najadała 'się co niemiara i bynajmniej radośnie w nowy rok nie wchodziła. Słabą dla niej pociechą mógł być fakt, że to samo traktowanie groziło płci brzydkiej w „tłusty czwartek". A szczególnie w Krakowie. Tamtejsze przekupki obrały sobie ten dzień za swoje święto. Schodziły się wtedy na tańce w rynku, a swe bezżenne „ofiary" wieńczyły grochowinami, na wszelkie sposoby ośmieszały i także zmuszały do ciągnięcia kloca. A od tego uratować mógł jedynie sowity wykup. Okrutny zwyczaj „ciągnienia kloca" żywy był jeszcze u nas w XIX wieku.

Łagodniejszym okiem patrzono też wtedy na wybryki żaków - mili współcześni uczniowie z Anką na czele. Ale osobiście nie radzę nikomu ich naśladować, bo owe żarty nie były zbyt wysokiego lotu. Jak i dzisiaj bywa - młódź kolędowała po domach. Hojnie ich wynagradzano, a oni odpłacali całkiem niemiłymi figlami. Paniom i pannom wystrojonym do kościoła przypinali do okryć różne obrzydliwości w rodzaju obgryzionych kostek i skorup jaj. W Popielec zaś swawolili jeszcze niewybredniej trzepiąc się nawzajem i kogo tylko popadło worami z popiołem - niszcząc ubranie i kurząc niemiłosiernie...

Mimo że takie zabawy, występki i występy w okresie karnawału były na porządku dziennym - nie wszyscy jednak znosili je cierpliwie. Dochodziło więc do bijatyk, kłótni... Sądy po zapustach miały pełne ręce roboty dochodząc praw pokrzywdzonych.

Toteż, choć jestem na ogół zwolenniczką podtrzymywania tradycji, w tym wypadku, patrząc z troską na mój jedyny zimowy płaszcz i zaglądając do skromnie wyposażonej lodówki - o staropolskim karnawale myślę ze zgrozą. Wprawdzie piękna to tradycja, wywodząca się od starożytności - od greckich - anthesteriów i rzymskich – bachanaliów i saturnaliów, którymi święcono zbliżanie się wiosny.

A że przecież i pod naszą szerokością geograficzną już dnia przybywa więcej niż „na barani skok" — więc bawmy się i weselmy, ale... z mniejszym rozmachem niż nasi pradziadowie.

EWA BIELSKA

Pod Giewontem ludziom chce się

Wszyscy w Zakopanem wiedzą, żc kapusta tu nie wyrośnie. A dlaczego? Bo za dużo Gąsieniców. Wszyscy też lub prawie wszyscy znają gadki o tym, jak Sabała diabła wyonacył (wymusztrował), jak Sabała doktora Chałubińskiego golił, jako chłopy zabe zjedli, jak to Jasiek Staśków ostał zienciem swojego gazdy i wiele innych. Ale na zasadzie: znacie? znamy! no to posłuchajcie! - słuchają z dużą i najprawdziwszą radością. Bo to za każdym razem inna gadka. Ten nogą tupnie, ta się weźmie pod boki, inna zatoczy wkoło ręką, ów powoli, poważnym tonem opowiada, tamta szybko i aż jej się oczy śmieją, a można jeszcze to głośno, to ciszej, z przejęciem, z szerokim gestem - żeby tylko uwagę słuchaczy przykuć, wzbudzić zainteresowanie, - do śmiechu czy choćby tylko uśmiechu zmusić.

W miejsko-gminnych eliminacjach konkusu recytatorsko-gawędziarskiego im. Andrzeja Skupnia-Florka (zmarłego przed 10 laty poety podhalańskiego), które odbyły się w grudniu ub. roku w Zakopanem, wzięło udział 42 uczestników - z Młodzieżowego Domu Kultury i z 12 szkół z Zakopanego i gminy tatrzańskiej, „Świat Młodych" znalazł się tam przypadkiem, zaproszony zza ściany, za którą przysłuchiwał się całkiem innemu konkursowi, toteż nie mógł być na pierwszej części eliminacji, kiedy recytowano wiersze patrona konkusu i innych twórców góralskich, za to w Waszym imieniu kibicował części drugiej, gawędziarskiej. Z tym większą zaś czynił to przyjemnością, że działo się to w ozdobionej rzeźbionymi belkami i półkami oraz malowankami na szkle i imponującą niedźwiedzią skórą izbie regionalnej Związku Podhalan „Swarna".

Tu co wtorek na tradycyjnych góralskich posiadach zbierają się ludzie, dla których góralszczyzna jest miłością z wyboru, tacy, jak **Hanna i Juliusz Sokołowscy** - miejsce urodzenia: Warszawa, wykształcenie: polonistyka warszawska, miejsce pracy: Szkoła Podstawowa w Zębie... ale chyba już niedługo, bo ile czasu można mieszkać kątem? Mieszkanie wynajmują u górali. Widoków na własne nie mają.

- *Uciekliśmy z miasta—mówi pani Hanna (mąż nieobecny, właśnie załatwia różne sprawy w Warszawie) - a jak już się ucieka z miasta, to zawsze tam, gdzie się lubiło jeździć-na wakacje.*

Pracują tu już trzeci rok po studiach, prowadzą kółko gawędziarskie; miało być polonistyczne, zgodnie z poleceniem, ale oczywiście nie jest. Z przygotowanych na spotkania wierszy i gadek zrobiły się posiady, często okraszone poczęstunkiem-regionalnymi plackami - moskolami. Na posiady zaprasza się gości — kogoś, kto góralską gwarą opowie coś ciekawego. Te gadki nagrywa się na magnetofon i w ten sposób nie tylko rośnie repertuar kółka gawędziarskiego, ale zostają utrwalone prawdziwe skarby ludowego humoru, języka, świata.

Dzięki temu uczniowie państwa Sokołowskich podczas konkursu mogą się popisywać nie tylko znajomością świetnej, ale już przecież oklepanej klasyki - gawęd o Sabale spisanych przed wieloma, wieloma laty przez Kazimierza Przerwę-Tetmajera i Adama Pacha.

Przy takiej okazji, jak ów konkurs, należałoby może specjalnie premiować właśnie wykonanie owych nie znanych szerzej gawęd - to one przecież dowodzą, że góralszczyzna żyje, choć pesymiści ubolewają nad tym, że tylko od święta, od festiwalu, od imprezy, a na co dzień...

- *Ot, widzi pani, cepry muszą w Zębie organizować posiady...*

Na szczęście na tych posiadach jest kogo posłuchać: czy to Jędrzej Gąsienica Makowski opowie gadkę „o polowacak", czy to 76-letnia „ciotka Marculka, co rękawicki na desce pletła" o tym, jako to drzewiej pod Halami bywało.



Uczestników konkusu recytatorsko-gawędziarskiego im. Andrzeja Skupnia-Florka obowiązuje kompletny strój regionalny. Cyfrowane portki można mieć po starszym bracie, haftowane koszule i serdaki, barwne spódnice i korale czasem wypożycza się z zespołu, ale najczęściej są to stroje szyte na wesela w rodzinie.

Na zdjęciu stoją od lewej: Józef Bobak ze SP w Zębie, Stasia Ustupska ze SP w Stasikówce (członkini zespołu góralskiego „Stasikowianie"), Aleksander Bobak ze SP w Zębie - wszyscy troje wyróżnieni - oraz pierwsza z prawej: Bogusia Bobak ze Stasikówki, laureatka II nagrody, wytypowana do jutrzejszego finału w Białym Dunajcu. Trzymamy kciuki!

- *My mówimy gwarą, ale nasze słowa coraz bardziej się z ceperskich biorą* - stwierdza 13-letni Józek Bobak ze szkoły podstawowej w Zębie. - *Bo się panów naziezdżało i trzeba z nimi więcej gadać.*

I nawet nauczyciele niewiele tu poradzą. Mogą tylko sprawdzić, ale już wymowy nie poprawią.

Od poprawiania Związek Podhalan ma swoich specjalistów, takich jak poeta, trener, malarz, kostiumograf, muzyk, narciarz i aktor w jednej, ogromnie żywiołowej osobie - **Jasiek Fudela**, absolwent zakopiańskiej „Kenarówki" i krakowskiej AWF, obecnie instruktor zespołów folklorystycznych i autor wydanego w 1980 roku przez LSW tomiku wierszy pisanych gwarą „W śrybelnym miesiącku". Na wstępie ofuknął mnie za „specjalistę", bo „w kulturze nie ma specjalistów, tylko są miłośnicy!", a na koniec, wyliczywszy wszystkie swoje profesje westchnął: „nie da się robić wszystkiego!" - i pobiegł dalej, bo tam gdzieś czekały go inne zajęcia, a tu już konkurs dobiegł końca.

Jury - czyli p. Barbara Pitoń, nauczycielka SP w Kościelisku, p. Kazimierz Mateja, wiceprezes Związku Podhalan, historyk, dyrektor szkoły w Olczy, p. Jan Suchorab - pracownik Klubu MPiK w Zakopanem, absolwent warszawskiej ASP - po naradzie (w trakcie której powstał dylemat, czy uznać wymowę „żaba", jeśli gwara góralska zna tylko dwie możliwości — „zaba" lub „ziaba"), pochwaliło wysoki poziom, rozdzieliło nagrody i wyróżnienia, wyraziło żal, że w konkursie wzięło udział zbyt mało uczniów szkół ponadpodstawowych oraz wytypowało uczestników finału, który odbędzie się jutro i pojutrze (25 i 26 stycznia) w Białym Dunajcu. Nagrodzeni odebrali dyplomy i książki. A Wasza wysłanniczka popędziła znowu za ścianę, myśląc sobie, że choć upłynął wiek złoty i minęły bezpowrotnie czasy, gdy Zakopanemu burmistrzował sam Stefan Żeromski, to przecież temu miastu o niepowtarzalnym, ciągle fascynującym przybyszów klimacie żaden zastój ani martwy sezon nie zagraża.

GRAŻYNA SZROEDER

Fot. **Kazimierz Tulej**

Z czterech stron świata



Osiołek cenniejszy niż tygrys

(„Poznaj Świat"). Dzięki ogrodom zoologicznym, filmom i telewizji dzieci zachodnioeuropejskie często lepiej znają zwierzęta egzotyczne niż na przykład konie. Jak wynika z dyskusji zoologów zorganizowanej przez francuski miesięcznik popularnonaukowy „Science et Vie", nadszedł czas, w którym dla ogrodu zoologicznego ważniejszy jest przychówek zwierząt tzw. domowych niż tygrysów, lwów czy zebr.

Do roku 1955 każde gospodarstwo w Langwedocji posiadało konia. Dzisiaj już bardzo wiele langwedockich dzieci wiejskich nigdy konia nie widziało. Z dróg i ulic Francji - tak samo jak Polski - znikły perszerony (rasa szczególnie silnych koni pociągowych wyhodowanych w rejonie La Perche). Pogłowie osiołków specjalnej francuskiej rasy zwanej Baudets du Poitou zmniejszyło się do 140 sztuk. W ogrodzie zoologicznym Azay-le-Feron zgromadzono kilka sztuk, aby nie dopuścić do ich zupełnego wyginięcia.

Fot. **archiwum**

Złota kaczka

(„Kontynenty"). Okazuje się, że uważna obserwacja roślin i zwierząt może zaprowadzić do odkrycia żył złota oraz innych minerałów. Np. w Zimbabwe pewien inżynier zauważył błyszczący pyłek na białych mrówkach. Było to złoto. Mrówki zakładając gniazdo przedostały się głęboko pod ziemię i w ten sposób naprowadziły geologów na żyłę złota.

Pewna chińska chłopka, patrosząc kaczkę, znalazła w jej żołądku kawałek złota. Kiedy powtórzyło się to później kilkakrotnie, domyślano się, że rzeka po której pływały kaczki musi zawierać złoto. Dzięki temu cała wieś stała się bogata.

Na złoża złota można także natrafić dzięki badaniom chemicznym... win, w których stwierdzono zawartość tego metalu. Również niektóre rośliny mogą być przewodnikami do złóż mineralnych. Np. w Zambii zauważono, że podobne do agawy rośliny z pięknymi niebieskimi kwiatami rosną w pobliżu złóż miedzi. Natomiast Brazylijczycy spostrzegli, że niepozorna ciemnoczerwona trawa towarzyszy złożom rudy żelaza. Od tego czasu trawa ta nosi nazwę „żelaznej".

NASZA BABCIA LUBI PORZĄDEK...

Dom Dziecka w Rzucowie mieści się w stareńklm drewnianym dworku, obiekcie zabytkowym. I może dzięki tym drewnianym ścianom, a także układowi wszystkich pokoi, pokoików i pokoiczków, jest on przytulniejszy, niż niejedna nowoczesna placówka tego typu. A ponadto jest w nim ktoś, dzięki komu ta zakładowa rodzina staje się podobniejsza do rodziny naturalnej. Jest Józefa Wojcieszkowa. Czyli... babcia. Najprawdziwsza. Przynajmniej dla tutejszych maluchów, ot choćby Jacka, Pawła, Tomka czy Rafała.

- Zawsze, kiedy „wtargną" do pokoiku babci, znajdują tam coś specjalnego, a tylko dla nich przeznaczonego - zapewnia pan dyrektor, Wiktor Podgrodzki. - W prawdziwym domu powinna być babcia, pies, kot i mleko - żartuje. - Babcię mamy!

— Babcią nazwały mnie maluchy. Te, która przyszły z Domów Małego Dziecka. Te, z którymi spędzam najwięcej czasu. A jak zaczęły tak mówić małe, to i starsze, i wszyscy. Dyrektor też.

Babcine młode lata

Jedna z pięciorga dzieci w ubogiej chłopskiej rodzinie, od małego uczyła się bardzo pilnie, choć rodzice zupełnie tego nie rozumieli: na co ci to, przecież księdzem nie będziesz?! Ale dzięki wytrwałości i wspaniałej nauczycielce dotarła aż do seminarium nauczycielskiego. I w rezultacie 1 września 1929 jako dziewiętnastoletnia dziewczyna pojawiła się w Huciskach, aby organizować tam szkołę.

Stara chałupka mieści 25-metrową salę i komórkę. W sali - lekcje. W komórce - mieszkanie nauczycielki. Uczy tam 9 lat. Sama wykonuje pomoce naukowe. Zakłada w szkole apteczkę pierwszej potrzeby. Jakaś ulga dla mieszkańców: mają teraz ratunek tuż pod ręką. Zżywa się ze wsią. Wychodzi też za mąż, pojawiają się na świecie dzieci. Ponieważ trudno mieszkać z rodziną w komórce, przenosi się do rodzinnej wsi męża, do Skłobów. Tuż przed wojną.

Jest wojna

Początek 1940 roku. Major Henryk Dobrzański, Hubal, ze swym oddziałem kawalerii ciągle jeszcze nie składa broni. 15 marca przybywa z Gałek za Przysuchą do Hucisk, Dziesięciu hubalczyków stacjonuje u szwagra pani Wojcleszkowej.

- Jest duża przerwa w szkole. Nagle pojawiają się polscy kawalerzyści. Kasztanowate, lśniące konie. Mundury jak spod igły. Zbiegają się dzieci. „Niech żyje wojsko polskie!"- krzyczą. „Niech żyje młodzież polska!" — odpowiada im Hubal.

Chłopcy koniecznie chcą się dowiedzieć, czy Hubal się nie boi. Przecież zaledwie kilka kilometrów stąd, w Chlewiskach, jest posterunek żandarmerii. „My się nie boimy. To Niemcy powinni się bać, bo są w kraju wroga — brzmi odpowiedź Hubala. — Posterunkiem dla naszego wojska jest każde serce polskie, dom polski, polska szkoła. Niedługo Polska będzie wolna. Ja w to wierzę mocno. Inaczej nie nosiłbym munduru i orzełka polskiego na czapce. I wy w to wierzcie."

— Pani Wojcieszkowa słyszała te słowa na własne uszy, widziała tę scenę na własne oczy. Zapamiętała ją na zawsze, tak jak i subtelną, piękną twarz majora i jego porywającą osobowość.

- Hubalczycy byli tu przez dwa tygodnie. Stale w rozjazdach, tak że chociaż oddziałek był niewielki, Niemcy mogli myśleć, że wojska jest dużo - płynie dalej opowieść. — Aż przyszedł 30 marca po Wielkiej nocy i wspaniałej zabawie urządzonej przez Hubala dla miejscowych w drugi dzień świąt. Brat męża, Stanisław Wojcieszek wiózł na wozie wraz z czterema hubalczykami żywność dla oddziału: mąkę z młyna i chleb z piekarni. Nagle zobaczyli niemieckie motory, pancernych. Jeden chwycił za rower i popędził, by zawiadomić Hubala. Ten miał akurat tylko 20 żołnierzy. Zaczaili się na ślepej — o czym Niemcy nie wiedzieli - drodze z karabinami maszynowymi i butelkami z benzyną. Zaczęła się w ten sposób pamiętna bitwa, zwana potem walkami pod Huciskami. Niemcy byli wściekli z powodu strat. Otoczyli wieś Stefanków i zabrali stamtąd 74 mężczyzn od 14 do 70 lat. Potem zabrali z Hucisk 20 młodych chłopaków. Nasi mężczyźni bali się wyjść, żeby nie wchodzić Niemcom w oczy. Przecież wiadomo było, że prawie wszyscy tu hubalczykom pomagali, jak nie z bronią w ręku, to przynajmniej dawali im jedzenie. 10 kwietnia pojawiły się plakaty niemieckie o „oddziale bandytów". „Wsie zamienimy w popieliska i cmentarze" - czytaliśmy. Prosiłam swoich, żeby uciekali. Powiedzieli, że nie ma się co spieszyć, pójdą na drugą noc. Drugiej nocy już nie było. Bo jeszcze tej samej Skłoby zostały obstawione przez 80 niemieckich wozów. Rano patrzę: prowadzą leśniczego, inżynierów z kopalni, mego teścia. Wpakowałam męża do piwnicy. W chwilę potem zjawili się Niemcy.

Szukali mężczyzn. Zabieraj pani dzieci, bo będziemy palić" - mówią. Po ich wyjściu mąż schował się w ubikacji na dworze. A ja wraz z dziećmi wyszłam tak jak stałam, w rannych pantoflach i w szlafroku. Kiedy wróciłam o 16.00, wieś się dopalała. Płakałyśmy z dziećmi na pogorzelisku. Padał śnieg z deszczem. Wyły psy. Wył i nasz Łatek. Dowiedziałam się potem, że po naszym odejściu mąż wyszedł ze swojej kryjówki, by uwolnić psa z łańcucha, bo żal mu się zrobiło zwierzaka. Psa ocalił, ale jego Niemcy wypatrzyli i zabrali.





Babcia Wojcieszkowa ze swoimi maluchami

Huciska i Skłoby spalili jednocześnie. I Gałki za Przysuchą, gdzie przedtem hubalczycy byli przez kilka miesięcy. Ludzi stamtąd zabrali do Oświęcimia. A siedemdziesięciu dwóch ze Stafankowa zabili na Firleju.

Tych ze Skłobów przez parę godzin trzymali w szkole w Chlewiskach. A potem sąd nad nimi na podwórku zrobili. Jako .przedstawiciele szlachetnego narodu, który nie krzywdzi starców i dzieci" puścili małych chłopców i staruszków, pozostałych załadowali na samochody i wywieźli do lasu. Groby już były wykopane. Ale z pierwszej dziesiątki, do której strzelano, czterem udało się uciec. I wtedy Niemey związali całą resztę drutem kolczastym i już wszystkich dokładnie zabili. Kiedy oni byli już zabici, powrzucani do dołów, przysypani piaskiem, ściółką i gałęziami, my głupie byłyśmy całą noc przekonane, że ich Niemcy wywieźli do Radomia. I dopiero kiedy woźny ze szkoły nadbiegł z krzykiem: „Ludzie, wy tu śpita i nie wita, a wszystkie wasze pomordowane są w rzucowskim lesie!" - poznałyśmy straszną prawdę. Kiedy udało się dostać od Niemców pozwolenie na ich pochowanie, wydobywanie dwustu piętnastu pomordowanych trwało trzy dni. Czekałam w przerażeniu i z nadzieją zarazem. Mojego męża wykopali trzeciego dnia.

Na pogrzeby zabrakło trumien i w Końskich, i w Szydłowcu, i w Przysusze.

Nie mogłam potem żyć. Po nocach zrywałam się z krzykiem. Aż poszłam do Niemców po pozwolenie uczenia w szkole. I tak zaczęło się w 40 roku moje uczenie w Rzucowie. I moja konspiracja. Chodziłam z meldunkami do Hucisk, prowadzałam doktora z tamtejszego .szpitalika" do rannych w lesie. Pośredniczyłam między tymi, co należeli do konspiracji w Rzucowie a oddziałami leśnymi i między poszczególnymi oddziałami też. Kolportowałam układane przez partyzantów piosenki. Czasem w moim domu odbywały się odprawy, czasem u mnie słuchano radia, które po audycji chowano w lesie. I żyłam przez tę okupację, aby dożyć.

Po rozgromieniu w naszych lasach pod Nowinkami ostatniego oddziału partyzantów, co stało się 7 listopada 1944 roku. ukrywałam u siebie w domu szesnastoletniego Karola — „Czuprynę", ciężko rannego, ale ocalonego z tej bitwy. Wydobrzał u mnie i dotrwał do końca wojny.

Wszystko to, choć minęło, ciągle jest we mnie

I od dawna przekazuję to innym. Opowiadałam i opowiadam. W szkole. W domu kultury. Na grobach naszych pomordowanych. To najczęściej w kwietniu - miesiącu pamięci narodowej. A kiedy szczepy harcerskie przyjmują imię majora Hubala, jestem do nich zapraszana. by opowiadać o tym wielkim dla mnie bohaterze. Zamraża staram się szerzyć kult Hubala.

Po wojnie

... znów była szkoła. Z roczną przerwą w 1947 roku na organizowanie nowej placówki — Domu Dziecka w Rzucowie. A potem szybciutko powrót do szkoły. Dopiero w 1960 roku pani Wojcieszkowa została w Domu Dziecka na stałe. Jako wychowawczyni. I tak aż do emerytury. Po emeryturze zresztą też. Ma tu... godzinę pracy dziennie. Najpierw były to godziny wieczorne. Opowiadanie maluchom, aż nie zasnęły, bajek. Tych znanych, a kiedy już zaczynało ich brakować, własnych, wymyślonych specjalnie dla nich. Teraz ma dyżury od 6.00 do 7.00 rano. Budzi dzieciaki, pilnuje, żeby tuż po wstaniu nie biegały boso, żeby jeden drugiemu nie dokuczał, przyszywa guziki, reperuje spodnie, czasem przeczyta coś, opowie. Ale jest tu nie tytko rano, bardzo często dyżuruje z nocną wychowawczynią, bo nie chce jej się spać.

I tak ta godzina zamienia się często w całe nie tytko dnie, ale i noce.

Wychowankom, choć nieraz słuchali opowieści babci o tamtych dniach, starsza pani kojarzy się bardziej z żelazkiem, igłami i nićmi, niż z leśną partyzantką. Wiedzą, że babcia najbardziej ze wszystkiego lubi porządek. No i jeszcze dziennik telewizyjny, komedie filmowe i opowieści o Don Kichocie. Lubi, jak się jej pomaga, np. zanieść torby z zakupami do domu. A nie znosi brudasów.

- I dyrektorstwo i wychowawcy opiekują się nie tytko dziećmi, ale i mną. Choruję poważnie na serce, a tu mam w każdej chwili zapewnioną pomoc, atmosferę i klimat, który ml odpowiada. W złej atmosferze nie przeżyłabym.

Kocham moich rodzonych trzech synów i jestem z nich dumna. Od nich wiele razy słyszałam: mamusiu, rzuć ten Rzuców, zajmij się naszymi dziećmi. Kiedy po nasileniu się choroby i po pobycie w sanatorium średni syn nie tytko zabronił mi pracować, ale zabrał mnie do siebie na Śląsk Opolski, po miesiącu... uciekłam. Bo bez Domu Dziecka nie mogę żyć. Bo moje rodzone dzieci — a mam ich sześcioro — i czworo prawnuków - mają swoje prawdziwe domy, a tych tutaj najbliżsi opuścili..

EWA KOSIŃSKA

Fot. M. Szymański

Naśladownictwo wskazane

Bez kompleksów



Pierwszym nauczycielem tenisa w Boguszach był pan Andrzej Dowgiert. Jego dzieło kontynuuje pan Andrzej Dadura. którego widzimy podczas treningowych zajęć z najlepszymi zawodnikami szkoły

Wszystko zaczęło się cztery lata temu, kiedy to zdobyli nagrodę pieniężną w ogólnopolskim konkursie „Klub otwartych szkół". Początkowo nie wiedzieli, na co ją przeznaczyć.

W końcu uradzono, że najlepiej będzie, gdy zakupi się stół do tenisa.

Nikt chyba wówczas nie przypuszczał, że ten dość niepozorny sprzęt sportowy stanie się zalążkiem aż tylu sukcesów.

Uczniowie szkoły w Boguszach, bo o nich tu mowa, dość szybko wgłębili się w tajniki ping-ponga.

Najpierw ograli okolicznych rywali, a teraz szturmują czołówkę Białostoczczyzny.

I to nie bez efektów. Marek Tolko wywalczył dwa lata temu IV miejsce w województwie (w gronie juniorów młodszych), a jego brat, Adam, był w ubiegłym roku szósty.

Równie dobrze radzi sobie Sławek Chłus i paru innych tenisistów.

Sukcesów chłopcom pozazdrościły dziewczęta i coraz śmielej atakują ich pozycje. Np. Krysia Weszczeniuk w wojewódzkim finale uplasowała się na miejscu piątym. Jeszcze wyżej może zajść Basia Kuczko; zakwalifikowała się do identycznych zawodów, które rozegrane zostaną niebawem.

Tenisistom z maleńkich Bogusz (szkoła liczy około stu „dusz") przydałoby się więcej lepszego sprzętu. Poczynają sobie, jak widać, bez kompleksów.

Jednak rakietkami, które posiadają, więcej chyba zrobić się nie da.

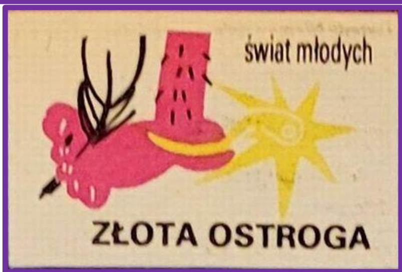
Stoły, już dwa, zajęte są od rana do nocy. Trudno się do nich docisnąć. Zwłaszcza teraz, podczas długich zimowych wieczorów. Poodbijać celuloidową piłeczkę przychodzą nawet starsi mieszkańcy wsi.

Toczy się więc turniej za turniejem, o puchar dyrektorki szkoły, sołtysa, czasami tylko o zakład - kto lepszy. I dzięki temu maleńka podstawówka tętni życiem. Jej szefowa, pani Weronika Chłus, twierdzi, że tak musi być i nie zamyka drzwi przed nikim. Niezmiernie rzadki to przypadek, wart naśladowania.



Eksperci od tenisa stołowego twierdzą, że boguszanie posiadają najbogatszy na Białostocczyźnie repertuar uderzeń. Na zdjęciu Marek Tolko

Tekst i zdjęcia: ZP



Opowiadanie Tomasza Perkowskiego ze Szczecina, nagrodzone w konkursie literackim „Brązową Ostrogą".

Z przymrużeniem oka

Ostatnio powiedziano mi, że głowę mam nabitą różnymi bzdurami na temat UFO, kosmitów i w ogóle na temat życia w kosmosie. Może to i prawda, ale kiedy wyciągam patrzałki w niebo, to mi się tropikręt ściska i oczodołki zielenieją na myśl, że jesteśmy samotni we Wszechświecie.

Wylądował na podwarszawskiej łące powodując jonizację powietrza na obszarze wielu kilometrów i wypalając roślinność na przestrzeni kilku hektarów. Na pozór nie różnił się od olbrzymiego, włochatego pająka i okropnie cuchnął. Po miesiącach wytężonej pracy sprzężonych komputerów Ziemi, udało się przetłumaczyć mowę przybysza. Jego przemówienie powitalne wprowadziło w zdumienie najtęższe umysły świata. W tłumaczeniu brzmiało: „Przybyłem tu z dalekiej galaktyki, gdyż nawet tam dotarła sława cudownego napoju jaki podobno tu wyrabiacie. Jestem przedstawicielem potężnego koncernu, który jest zainteresowany kupieniem patentu na uzyskiwanie tego napoju. Otwierają się przed wami wspaniałe perspektywy, jeśli przyjmiecie propozycję. Nazwa tego napoju brzmi *Wódka bałtycka".*

Łaknął krwi. Bezszelestnie uchylił płytę nagrobkową. Poprawił garnitur, wyczyścił pazury i wyruszył na miasto. Pierwszą ofiarą jaką sobie wybrał była młoda dziewczyna, wracająca do domu z jakiegoś wieczornego seansu kinowego. Szybko zaczaił się we wnęce najbliższych drzwi. Kiedy dziewczyna przechodziła obok, błyskawicznie chwycił ją za szyję. Dziewczyna obróciła się. W jej oczach błysnęło zdziwienie połączone z zachwytem. Z okrzykiem „Jackson, od razu cię poznałam po tym przebraniu" - złapała go za szyję.

Tej nocy wracał do swojej siedziby głodny. Kładąc się do swojej spróchniałej, ale swojskiej trumny, z goryczą pomyślał: „Ach, ta dzisiejsza młodzież ze swymi idolami!"

Było ich dwóch. Stali przed nim w błyszczących kombinezonach. Mówić zaczął ten wyższy. „Po to by nawiązać z tobą telepatyczny kontakt, potrzebna była roczna produkcja energii dziesięciu planet. Zostałeś wybrany z czteromiliardowej społeczności Ziemi, gdyż okazałeś się najbardziej podatny na fale telbio. Jesteśmy ginącą cywilizacją i chcemy całą swoją wiedzę właśnie ludziom przekaźać. Mamy mało czasu. Uwaga, zaczynamy przekaz..." Zenon B. obudził się zlany potem. „Znów to delirium tremens" pomyślał. Na tę chorobę znał tylko jedno lekarstwo. Z kieszeni podartego waciaka wyciągnął małą buteleczkę z napisem „Woda brzozowa".

Ahmed Kowalski ma dzisiaj urodziny. Był rano w meczecie, a teraz wybiera się z rodzicami do Muzeum Narodowego. Ahmed z chęcią już teraz by wyszedł, ale musi poczekać, bo w telewizji toczy się dyskusja, czy starą, słowiańską nazwę Warszawa zmienić na „Drugi Istambuł" i rodzice z niecierpliwością czekają na wynik. I już po wizycie w muzeum. Ahmeda najbardziej zainteresował obraz sławnego malarza Muhammeda Matejki „Zwycięstwo Kara Mustafy nad wojskami niewiernych pod Wiedniem". Powoli w umyśle chłopca zaczęła kiełkować jakaś myśl, ale dopiero po kolacji odważył się zapytać ojca: „Tato, a co by było, gdyby..."

Kiedy już odkryjemy wszystko, co było do odkrycia i poznamy wszystko, co było do poznania; kiedy już zasiedlimy cały Kosmos, a na najdalszych planetach będą ryczeć ziemskie tranzystory i walać się puste butelki po Coca-Coli; kiedy wszystkie groźne choroby przejdą do historii, a ziemskie zwierzęta będzie można obejrzeć tylko na filmie; kiedy człowiek będzie panem czasu i przestrzeni, a szczęście będzie mierzone w centymetrach; kiedy to wszystko w końcu nastąpi, pomyślimy może o skutecznym lekarstwie na katar.

Tomasz Perkowski (14 lat)



PALI SIĘ!









Czy pod bokiem samego naczelnika straży pożarnej z małego miasteczka może wybuchnąć wielki pożar? Oczywiście, że może! I to taki, że nie opanuje go ani jednostka dzielnych sikawkowych, ani ciotka Wiśniewska, ani energiczna teściowa pana naczelnika - choć dyżurny i telefon działają w zasadzie bez zarzutu. Na szczęście jest to pożar niegroźny - bez popiołu, swądu i ofiar w ludziach, jeśli nie liczyć subtelnej córki naczelnika - Iwonki, do której pali się kominiarz Piotruś. Kto ciekaw „wielkiego pożaru w małym miasteczku", niechaj wybierze się do warszawskiego Teatru Ochoty, w którym Wasi koledzy-członkowie Ogniska Teatralnego oraz aktor zawodowy - Witold Bieliński, odstawiają kabaret Wandy Chotomskiej pod jednoznacznie gwałtownym tytułem - „Pali się"!

(tem)
Fotografował Jacek Łopuszyński



STYLISTYKA

Tym razem nieco o stylistyce samochodów ciężarowych. Podjęłam ten temat w oparciu o nadesłany mi przez Wojciecha Matelę z Poznania projekt pojazdu dla produkowanego w Fabryce Samochodów Rolniczych w Poznaniu samochodu TARPAN.

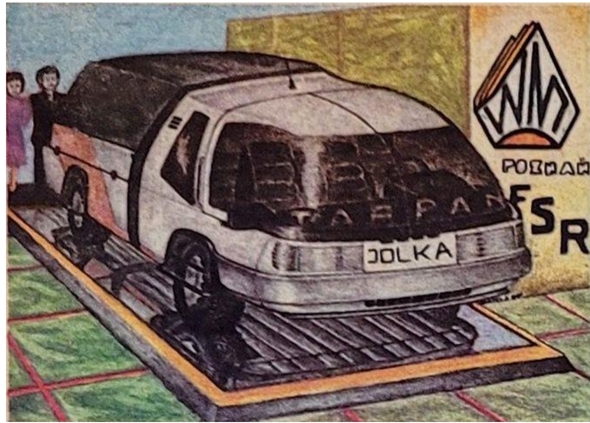
Przyznaję, że kształt nadwozia jest bardzo oryginalny, i co ważne, oparty na własnych rozwiązaniach. Zaprojektowany samochód prezentuje się nowocześnie, chociaż realizacja jego nie tylko w naszych warunkach byłaby przedsięwzięciem bardzo trudnym.

Również niefunkcjonalny wydaje się być przedział osobowy samochodu ze względu na brak drzwi, a wchodzenie do niego po drążkach przymocowanych w obrębie przestrzeni przednich błotników, przypomina zajmowanie miejsca w pojeździe bojowym lub potężnej machinie rolniczej, do której w żadnym przypadku nie powinien być podobny samochód rolniczy,

Wojciech do wykonanego rysunku przesłał bardzo obszerny opis rozwiązań konstrukcyjnych tego samochodu, które w skrócie przedstawiają się tak:

- samochód składa się z dwóch członów, a więc byłby pojazdem przegubowym,
- napęd elektryczny lub hydrauliczny,
- zawieszenie sztywne lub oparte na mechanizmach hydraulicznych,
- nadwozie wykonane z tworzyw sztucznych,
- elektroniczny zestaw przyrządów kontrolnych.

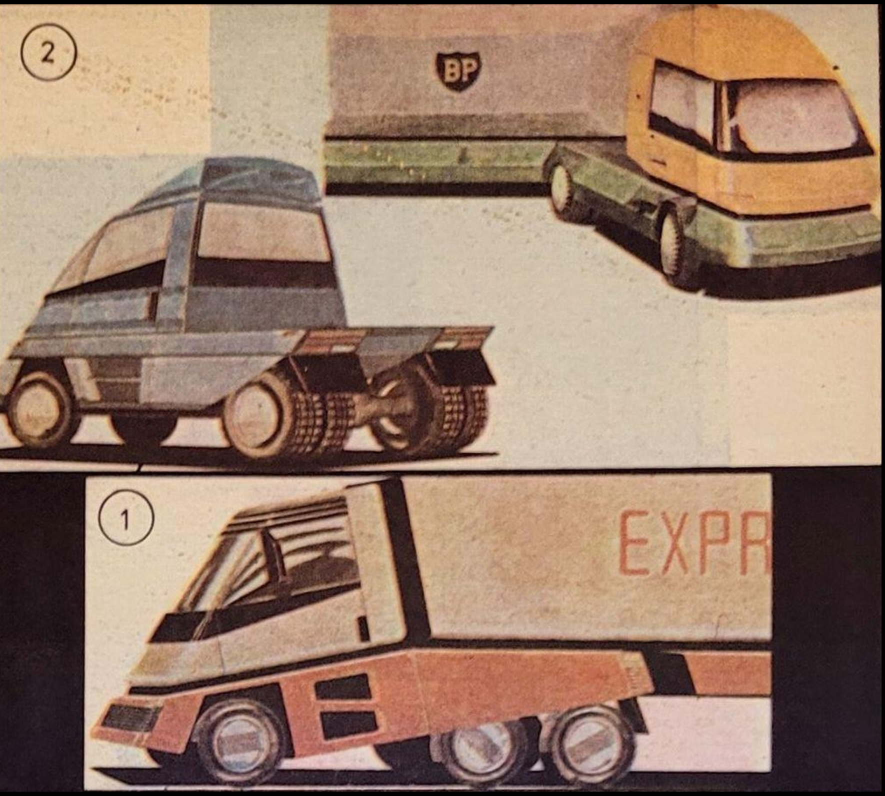
i dużo, dużo jeszcze nowości, o których się już słyszało przy opisach niekonwencjonalnych rozwiązań różnych samochodów. Wydaje się, że gdyby cały zestaw rozwiązań proponowanych przez Wojciecha został zastosowany w jednej konstrukcji, to samoohód ten musiałby w sumie tworzyć wielką machinę, a koszt jego wytworzenia odpowiadał by chyba cenie Rolls-Royca. Warto wiedzieć, że nowoczesne rozwiązania tego rodzaju aamochodów zmierzają i powinny zmierzać do maksymalnego uproszczenia konstrukcji, jego lekkości, gdyż taki pojazd może zabierać dużo ładunku i tanio go przewozić, a także łatwiej mu poruszać się w trudnym terenie.



Pomimo tych krytycznych uwag oceniam wysoko wkład pracy projektodawcy, jego umiejętności w harmonijnym kształtowaniu konstrukcji, a także duży zasób wiadomości z zakresu konstrukcji pojazdów.

Tym wszystkim, których interesuje stylistyka samochodów ciężarowych przedstawiam 3 projekty rozwiązań tych pojazdów zaczerpnięte z zagranicznej prasy motoryzacyjnej.

Z zadowoleniem stwierdzam, że napływa do mnie dużo projektów stylistycznych, lecz ze względu na szczupłość miejsca publikuję te najbardziej ciekawe, ale wszystkie przesłane przeglądam z dużym zainteresowaniem. Brak więc odpowiedzi z mojej strony nie oznacza dezaprobaty dla projektów, a wręcz odwrotnie powinien skłonić projektantów do tworzenia nowych, gdyż tylko drogą ciągłej pracy można dojść do zadowalających efektów. Oczekuję więc na dalsze Wasze projekty.



ZENON DUTKIEWICZ

Zielono mi (69)

O BANKACH GENÓW

W prasie i w środkach masowego przekazu spotykamy coraz częściej określenie „bank genów" i chyba nie wszyscy wiedzą, co się pod tym określeniem kryje. Gen jest jak wiadomo jednostką dziedziczności, która przekazuje określoną cechę organizmu z pokolenia na pokolenie. Pod względem chemicznym gen jest odcinkiem kwasu dezoksyrybonukleinowego (DNA). Geny znajdują się w chromozomach, a chromozomy w jądrze komórki. Określenie „bank genów" sugeruje, że przechowuje się w nim wyizolowane geny. W rzeczywistości tak nie jest. Przechowuje się wartościowy materiał genetyczny w postaci całych roślin, ich części lub organów roślinnych. Ściślejsze byłoby więc określenie „bank zasobów genetycznych".

Obecnie banki zasobów genetycznych organizuje się we wszystkich rozwiniętych krajach. Sprawa poszukiwania zasobów genetycznych, ich ochrony, gromadzenia, wymiany, informacji o tych zasobach stała się ostatnio tak ważna, że biorą w tym udział duże organizacje międzynarodowe, takie jak na przykład Międzynarodowa Organizacja Rolnictwa i Wyżywienia (FAO).

Dlaczego zasoby genetyczne trzeba gromadzić, ochraniać i przechowywać? Za moich chłopięcych lat można było spotkać w nowosądeckich sadach bardzo drobne gruszki o cudownym, korzennym smaku zwane „muszkantelkami". Jabłka bardzo twarde i mało smaczne zwane „bukówkami" o tak doskonałych właściwościach przechowalniczych, że można było je przechowywać do maja w zwykłym kopcu, jak ziemniaki, bez żadnych wymyślnych przechowalni i chłodni z kontrolowaną temperaturą i składem powietrza. Odmiany te i wiele innych zniknęły bezpowrotnie z sadów, ponieważ przegrały one z odmianami bardziej szlachetnymi o dużych okazałych owocach i pysznym smaku. Obecnie, gdy tych wspaniałych, szlachetnych odmian mamy w bród, okazało się, że mają one również i wady. Te piękne owoce są wrażliwe na choroby, toteż trzeba drzewa na których rosną wielokrotnie opryskiwać, zaś opryskiwanie jeśli przeprowadza się je niefachowo nie jest tak zupełnie obojętne dla zdrowia i oczywiście sporo kosztuje. Jabłka o delikatnym miąższu i cienkiej skórce dają się długo przechowywać tylko w specjalnej chłodni, a to również kosztuje.

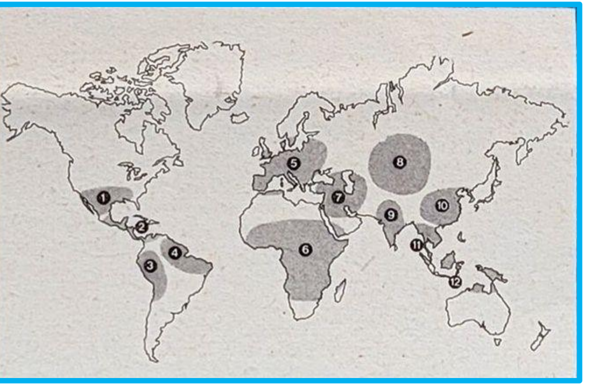
Hodowcy przypomnieli sobie obecnie o dawnych odmianach, mało szlachetfiych, lecz nieraz jakże odpornych na różne niesprzyjające warunki. Pomyśleli, by do szlachetnych odmian dodać nieco genów odporności na choroby, szkodniki, mróz, suszę, a także innych cech, które przez pewien czas były niedoceniane jak np. trwałości, aromatu itp. Nowe geny można wprowadzać do potomstwa przez krzyżowe zapylanie kwiatów. Lecz do tego celu potrzebne są odpowiednie zasoby genetyczne w postaci dawnych gatunków i odmian. Trzeba je odszukać, zgromadzić, opisać i przechować.

Gromadzenie zasobów genetycznych obejmuje różne działania. Przede wszystkim, poszukuje się i chroni rośliny dzikie w ich naturalnych stanowiskach. Każda roślina uprawna: pszenica, ziemniak, kapusta, jabłoń pochodzi od dzikich prymitywnych przodków, których można jeszcze spotkać w określonych częściach świata. Przodków naszych drzew owocowych trzeba, na przykład, szukać w południowej Europie, w Malej Azji, we wschodnich regionach Związku Radzieckiego i w Chinach. Praktycznie już tylko w Związku Radzieckim znajdują się naturalne lasy drzew owocowych, jabłoni i grusz, bo w innych krajach, zostały one niemal doszczętnie wycięte i przeznaczone pod inne uprawy. W lasach tych znajdują się bogate zasoby genetyczne, które trzeba koniecznie uchronić dla przyszłych pokoleń. Oprócz dzikich gatunków trzeba chronić stare odmiany, które tymczasowo nie są nam potrzebne, lecz stanowią wartościowy materiał genetyczny dla dalszej hodowli. Odmiany te, jeśli nie zostaną w porę zgromadzone i zachowane - znikną zupełnie. W trakcie hodowli zresztą powstają różne ciekawe mieszańce, które jeśli nie mają praktycznego zastosowania, są przez hodowców wyrzucane mimo, że posiadają interesujące geny. Również i te rośliny powinny być zachowane.

Przechowywanie zasobów genetycznych może się odbywać w różny sposób. Jeśli roślinę rozmnaża się z nasion to odpowiednio spreparowane i zapakowane hermetycznie nasiona umieszcza się w chłodni, na przykład w temperaturze ciekłego azotu (- 196°C), gdzie mogą pozostać nawet przez 100 lub więcej lat. Jeśli roślina rozmnażana jest drogą wegetatywną, na przykład drzewa i krzewy owocowe, to przez kilka lat można przechować ścięte zrazy lub sadzonki. W celu dłuższego zachowania odmiany trzeba niestety pielęgnować całe drzewa zgromadzone w specjalnych kolekcyjnych sadach. Jest to sposób kłopotliwy i kosztowny, toteż już opracowano metody hodowli i mnożenia fragmentów tkanek, które umieszczone w probówce i zamrożone będzie można przetrzymać nawet przez kilkadziesiąt lat, a następnie odtworzyć z nich całą roślinę.

Bank zasobów genetycznych roślin ogrodniczych powstaje właśnie w Skierniewicach. W Instytucie Warzywnictwa gromadzi się nasiona gatunków i odmian warzyw. W Instytucie Sadownictwa i Kwiaciarstwa gromadzi się gatunki i odmiany roślin sadowniczych. W związku z tym mile widziane są nasiona starych warzyw oraz informacje o istniejących jeszcze ciekawych odmianach drzew owocowych.

AUGUSTYN MIKA



Źródła pochodzenia najważniejszych roślin uprawnych

1. Ameryka Północna
Słonecznik, fasola, poziomka wirginijska.

2. Ameryka Środkowa
Kukurydza, pomidor, fasola niska, fasola pnąca, groch, bawełna, avocado, papaja, słodki ziemniak, maniok.

3. Rejony górskie Ameryki Południowej
Ziemniak, orzeszek ziemny, bób, fasola, bawełna.

4. Rejony nizinne Ameryki Południowej
Słodki ziemniak (*Dioscorea)*, ananas, manjok, pomidor, tytoń, papryka, kakao, kauczuk.

5. Europa
Owies, burak, kapusta, winorośl, oliwka, trawy pastewne, koniczyna, chmiel, sałata, łubin, rzepa, rośliny rzepowate.

6. Afryka
Ryż afrykański, sorgo, proso, słodki ziemniak, arbuz, kawa, pszenica, jęczmień, palma daktylowa.

7. Mała Azja
Pszenica, jęczmień, cebula, groch, figa, grusza, granat, jabłoń, oliwka, ryż, soczewica.

8. Azja Centralna
Sorgo, prosb, bób, marchew, gryka, konopie.

9. Indie
Groch indyjski, oberżyna, bawełna, sezam, trzcina cukrowa, mango.

10. Chiny
Soja, kapusta chińska, cebula, brzoskwinia.

11. Indonezja
Ryż, banan, rośliny cytrusowe, słodki ziemniak, trzcina cukrowa, herbata, rośliny przyprawne.

12. Oceania
Trzcina cukrowa, palma kokosowa, owoce tropikalne.

POCZTA HODOWCÓW

Ela Baran, ul. Ludwika Swobody 3/15, Kraków, zobowiązuje się odpowiedzieć na wszystkie listy od miłośników zwierząt. Natomiast **Magda, Monika i Łukaaz Ostrowscy, ul. Wileńska 59d/16, 80-215 Gdańsk-Morena** założyli jedyny w swoim rodzaju Związek Hodowców Chomików i chętnie odpiszą na listy od kolegów, którzy mają mniejsze doświadczenie w hodowli tych miłych gryzoni. **Tomasz Jeziorski, ul. Moniuszki 8/54, Jelenia Góra**, 58-506, będzie wdzięczny za listy od hodowców kanarków, a **Ewa Grzelak, ul. Przełajowa 4 m. 109,94-044 Łódź**, bardzo prosi o listy od hodowców papużek falistych, **(ak)**



Radzimy hodowcom

DLACZEGO KANAREK NIE ŚPIEWA?

Wśród listów od hodowców powtarza się problem dotyczący kanarków, które przestały śpiewać. Przyczyn takiego zjawiska może być kilka, a często takich, na które z reguły nie zwracamy uwagi.

Normalnym stanem rzeczy jest to, że przestaje śpiewać kanarek-samiec, który jest już bardzo stary tzn. ma powyżej 8 lat. Natomiast starsze samiczki mogą... zacząć śpiewać (dotyczy to nie tylko kanarków, ale wielu ptaków z rodziny wróblowatych, najliczniejszej rodziny z gromady ptaków). Oczywiście śpiew takiej samiczki nie dorównuje pieśni samca, ale śpiewaczka jest cała zaangażowana w tę czynność i stara się robić to jak najlepiej.

Innym fizjologicznym hamulcem śpiewu jest okres pierzenia, kiedy to ptaki muszą całą energię zużyć na wytworzenie nowych piór. W tym okresie, wielu polnych śpiewaków milknie ńa okres kilku tygodni. Odmiennym zjawiskiem jest wpływ niekorzystnych warunków środowiskowych. Takie czynniki jak zimno, zmienny lub nieodpowiedni pokarm, przeniesienie ptaka do innego pomieszczenia hodowlanego, zbyt mała ilość światła i krótki zimowy dzień mogą spowodować, że kanarek przestaje na pewien okres śpiewać. Także w przypadku gdy trzymamy kanarka w kuchni, ulatniający się gaz (na który są kanarki szczególnie wrażliwe) może powodować złe samopoczucie, a w konsekwencji milczenie śpiewaka.

W źle, lub niewietrzonych pokojach, czy przeciwnie, w przypadku przeciągów, kanarki są osowiałe, czują się źle i nie śpiewają. Ptaki nadmiernie otłuszczone i bardzo oswojone (co wiąże się często z nieodpowiednim żywieniem) nie przejawiają też większej ochoty do popisów śpiewaczych.

Jeżeli kanarek przestaje śpiewać jest to dla doświadczonego hodowcy ostrzeżenie, gdyż brak śpiewu może być pierwszym objawem rozwijającej się choroby lub pierwszą reakcją na złe warunki hodowlane. Należy więc w takim przypadku zdwoić troskliwość, a dodatek witamin, oraz urozmaicone żywienie i zielenina, z reguły przywracają dobre samopoczucie pupila, o czym zawiadomią nas jego radosne trele.

ANDRZEJ KRUSZEWICZ
Fot. **W. Wróblewski**



Zegarynka bardziej przekonywająca

Jedna z fabryk w Wiedniu (Austria) wypuściła na rynek nowy model zegara ściennego. Jego nowość polega na tym, że zamiast dotychczasowego tradycyjnego wybijania godzin, zegar ogłasza je wyrazami, np. „godzina trzecia'', „godzina ósma trzydzieści". Po prostu w miejsce urządzenia wybijającego godziny, wmontowano w zegar taśmę magnetofonową z nagranymi na każdą godzinę wyrazami.

MYJNIA AUTOMAT?!

W Japonii zbudowano prototyp wanny, w które] można wykąpać się automatycznie. Gdy naciśnie sią odpowiedni guzik, ciało oblewane jest ze wszystkich stron prysznicem, następnie zaś wprawiane są w ruch automatyczne szczotki, które zmywają brud ze skóry kąpiącego się, a jednocześnie dokonują masażu całego ciała. Przez cały czas kąpieli z odpowiednich sitek wypływa płynne mydło. Po kąpieli wanna sama opróżnia się, następuje płukanie czystą wodą, suszenie czystym powietrzem, przy równoczesnym naświetlaniu ciała kwarcówką.

UŚMIECH NUMERU

PO NEUDANYM URLOPIE pan Mądrala dzwoni z awanturą do biura podróży:

- Przez całe dwa tygodnie lały się z nieba potoki wody!

- A szanowny pan chciałby, by za takie pieniądze lała się Coca-Cola?

*

DWAJ POLICJANCI na słynnej „autostradzie słońca" patrzą z przerażeniem, jak mija ich olbrzymi krążownik szos z absolutnie niedozwoloną szybkością.

- Paolo - pyta policjant kolegę — czy zapamiętałeś jego numer i markę?

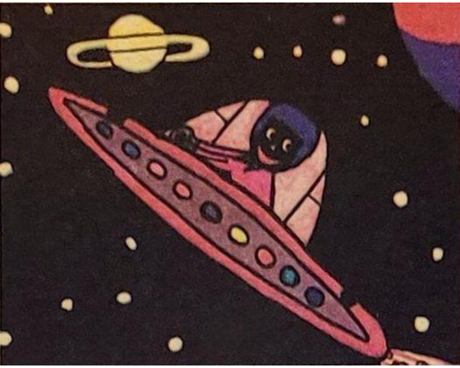
- Skądże, ledwo mignął...

- Ale piękna blondyna siedziała koło kierowcy!

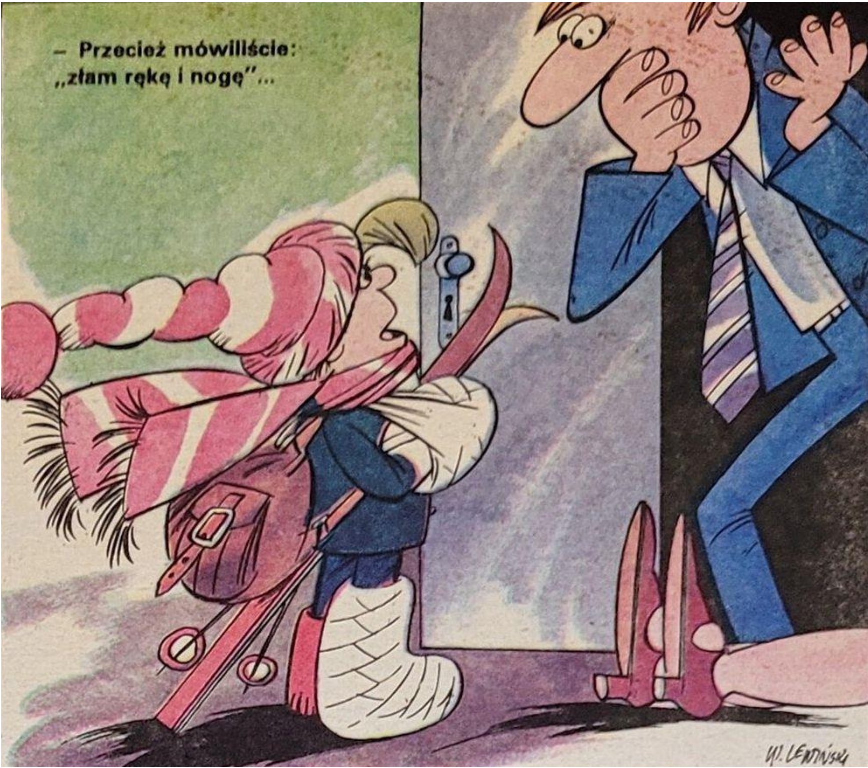
- Aha, i miała niebieskie oczy!

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW
NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561
Nr 11(3941)
UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
wychodzi: wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046 PL ISSN 0137-93214

ADRES REDAKCJI: ul.Mokotowska 24
00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny) Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (z-ca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (z-ca red. nacz.), Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (z-ca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
TELEFONY.: Red. Naczelny 21-15-61. Sekr. redakcji 28-25-48.
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13 (czynny w godz. 11-15).
TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch'' Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne: Grażyna Klechniowska
Opracowanie techniczne: Jerzy Rusak
Korekta: Barbara Wasilewska
Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 129/G. N-23
Nakład 500 000



Autorem mego portretu, na którym znajduję się w okolicach Saturna jest Paweł Jurkowski, którego zapisuję do Rzepklubu.



OGÓLNOPOLSKA WERYFIKACJA CZŁONKÓW RZEPKLUBU

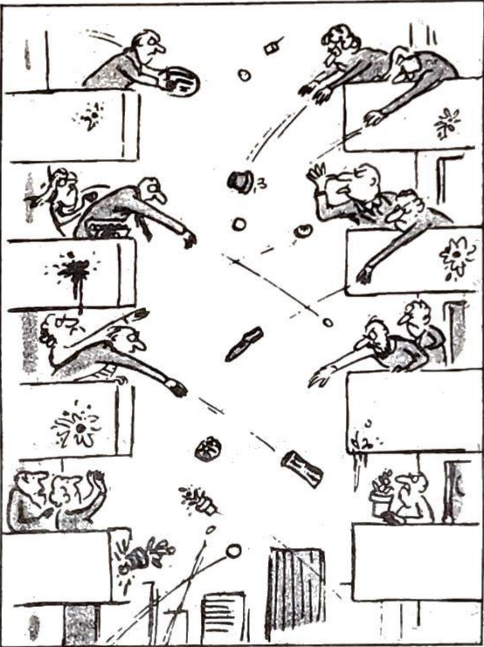
48. **Iza Janik**, lat 12; „Leśniczówka", 32-863 Tymowa 203.
49. **Marek Antosz**, lat 17; Wola Przemykowska 194; 32-821 Zaborów.
50. **Marzanna Urbaniak**, lat 16; ul. Adwentowicza 21 m. 21; 92-534 Łódź-Widzew.
51. **Jarosław Jerszyński**, lat 12; ul. Zielona 3/17; 44-335 Jastrzębie-Zdrój.
52. **Andrzej Zając**, lat 15; ul. Kopernika 9 m. 64; 38-200 Jasło.

RZEPKLUB

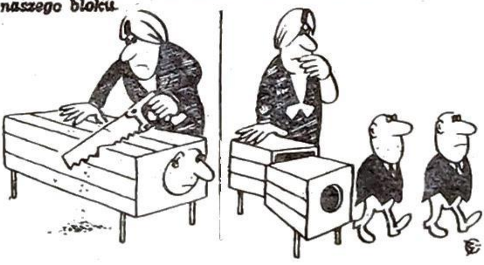
Żarty wyszperali: Wit Więch, M. Pawlak, Justyna Pietrzak. Zapisują ich do klubu.







— Chodzi o to, że dzieci z ich bloku pobiły dzieci z naszego bloku.



REDAGUJE WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześćl

Życzymy Wam samych miłych przygód podczas ferii! Na wycieczkach, podczas zjazdów narciarskich, na lodowiskach, wszędzie stosujcie zasady BHF! Ten nowy skrót oznacza: BEZPIECZEŃSTWO I HIGIENA FERII (pomysł Krasnoludka).

Rozkaz dla harcerzy: *(BACZNOŚĆ!) Nie zaziębić się! Trzymać się ciepło! (SPOCZNIJ!).*

*

Rozejrzałem się po największym w Warszawie sklepie sportowym. Tuż przed feriami zimowymi można było tam kupić wędkę, łódź wiosłową, a także żaglówkę, silnik do motorówki, kotwicę i trampki białe nr 9.

*

KSIĘGA REKORDÓW RZEPKLUBU

● Zrobiłam na drutach szalik długości 3 i pół metra. Aniela Nieszpór (podpisy dwóch świadków).

● Stałem w kolejce (po kalesony) 2 godz. 45 min. Andrzej Morawski. (Podpisy j.w.).

Nasza KSIĘGA REKORDÓW jest otwarta dla wszystkich! Każdy z Was może wpisać do niej swój życiowy rekord potwierdzony przez dwóch świadków. Zapraszamy!

ANEGDOTKI

- Jak myślisz, czy płazy mają choć odrobinę rozumu?
- Nie sądzę, żabciu.

- Wszyscy do pomp! Statek tonie!
- Ńo to co? Czy to mój statek?...

Anegdotki wyszperali: Renata Bugowska i Wojtek Książek. Zapisuję ich do Rzepklubu.

Do zobaczenia!

Wasz Rzep

- Tak - pan Hutorowicz skinął głową. - To jego robota.
- Ale dlaczego?
- Widocznie dostał takie zadanie.

Miała teraz o czym myśleć podczas długich godzin spędzanych w Tuileriach. Tamborek spoczął na dnie szuflady, razem z motkami jedwabiu, z najcieńszym batystem. Jej hafty nie były już nikomu potrzebne. Panny ze szwalni szyły bandaże, obrębiały płótno na opatrunki. Siedziała więc razem z nimi zajęta tą samą smutną robotą.

Wieści z frontu nadchodziły nieregularnie i były coraz gorsze.

Wreszcie któregoś dnia panna Wirginia zjawiła się w żałobie.

- Brat poległ pod Reichshoffen - powiedziała ocierając oczy. - Wczoraj nas zawiadomiono.

Już w końcu lipca cesarzowa Eugenia opuściła Saint-Cloud i z całym dworem zjechała do Paryża. Tu łatwiej było o nowiny, a i obowiązki regentki wymagały jej obecności w stolicy.

Mimo coraz tragiczniejszej sytuacji, cesarzowa Eugenia zadziwiała ministrów i generałów zimną krwią i opanowaniem. Nie spodziewano się po niej podobnej energii i siły charakteru.

Czternastego sierpnia odbyło się ostatnie dworskie przyjęcie w Tuileriach. Wśród przybyłych przeważały mundury wszelkich formacji. Cesarzowa Eugenia zjawiła się piękna jak zwykle choć blada i znużona. Dekoltowana suknia z czarnej siatki na takimże taftowym spodzie, rozkładała się w sutą krynolinę. Na ten wieczór regentka nie wydobyła z puzder żadnego klejnotu, na rękach miała jedynie dżetowe bransoletki i takiż diadem na jasnych włosach, wśród których przeświecało kilka srebrnych nitek.

Służba podobnie jak i pani przywdziała czarną liberię.

Mimo żałobnej dekoracji nastroje gości nie były najgorsze. Łudzono się jeszcze, że losy wojny mogą się odmienić. No i liczono na pomoc. Próżne to jednak były nadzieje, próżne zabiegi cesarzowej Eugeniii u niedawnych sojuszników. Zarówno książę Mettemich jak i kawaler Nigra w imieniu swoich rządów przynieśli odmowną odpowiedź.

Trzeciego września dotarła do Paryża wieść o ostatecznej porażce pod Sedanem i o kapitulacji. Wokół Tuileriów zaczęły gromadzić się tłumy. Ulicą Rivoli ciągnęły grupy rozkrzyczanych i wygrażających pięściami paryżan. Śpiewano pieśni wrogie cesarstwu, przeklinano Napoleona Trzeciego. Całą noc błyskały ognie pochodni na placu Zgody, a wrzaski i śpiewy raniły uszy zbolałej regentki.

Generał Lepie obawiał się o bezpieczeństwo powierzonej jego opiece małżonki cesarza. Wieczorem wzmocniono straże przy bramach, a szwadron grenadierów roztasował się w salach pawilonu Flory, dotykających galerii Muzeum Luwru.

Jak szczury z tonącego okrętu, tak z Tuileriów zaczęli uciekać dworacy i służba. Nikt naturalnie nie opuszczał pałacu z pustymi rękami, każdy pod płaszczem, pod fartuchem czy pod liberyjną kurtką wynosił jakiś cenny drobiazg: statuetkę z brązu czy z kości słoniowej, miniaturę podpisaną sławnym nazwiskiem. Biesiadowano w pałacowej kuchni, korzystając z nieszczęścia chlebodawców. Czwartego września rano pałac wydawał się wymarły. Reszta służby, która pozostała mając nadzieję na większe łupy, zbiegła w ciągu nocy. Jedynie przed drzwiami cesarskich apartamentów pełnił straż wiemy gwardzista. Od strony placu Zgody lud wyłamał sztachety i wdarł się na teren ogrodów.

- Panno Różo - cesarzowa Eugenia wyjmuje z szyfonierki małe puzderko. - Proszę, niech to pani zachowa na pamiątkę, Dopiawdy, tak bardzo dziękuję za serce...

Róża, skonfundowana, nie wie co powiedzieć.

- Niech pani nic nie mówi. Takich haftów nigdy już nie będą miała. Chcę, żeby pani wzięła sobie coś z tych rzeczy, przecież wszystko zostanie.

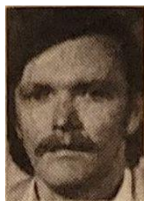
Tak, trzeba zostawić wszystko. Pełne szafy i komody, ponad trzysta wspaniałych toalet, futra, koronki, stosy najcieńszej bielizny - równie wykwintnej nie miała chyba żadna dama w Europie - kolekcję wachlarzy, biżuterię i te tysiące prześlicznych drobiazgów, które wyszły z pracowni artystów, a na co dzień uprzyjemniały życie. Najcenniejsze klejnoty na szczęście znajdowały się już w bezpiecznym miejscu.

Cdn.



NAJKRÓTSZA HISTORIA WYNALAZKÓW

7

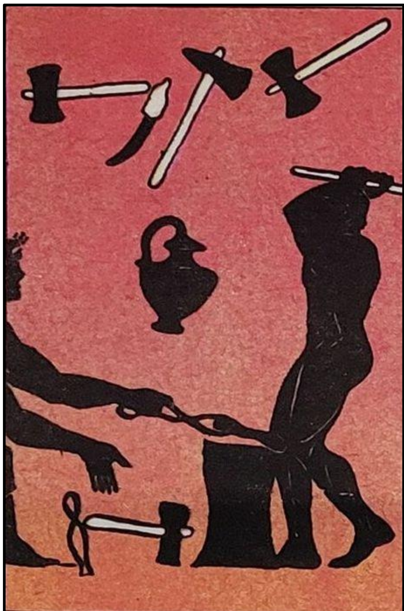


POD PRZEWODEM GREKÓW

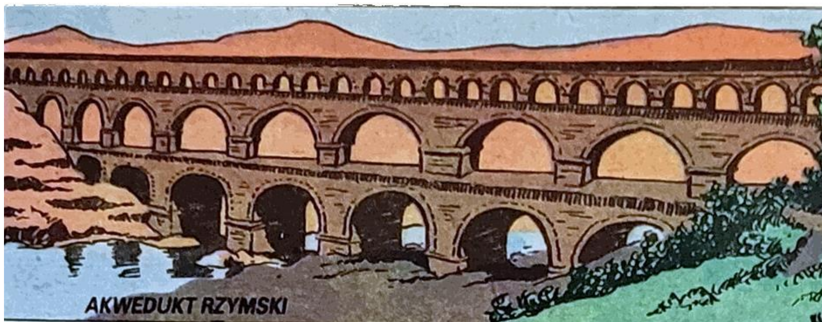
BOLESŁAW ORŁOWSKI – TEKST *RYSUNKI - TADEUSZ RACZKIEWICZ*

Nie tylko Grecy i Fenicjanie wnieśli w tym okresie wkład do postępu ludzkości. Przyczyniły się do niego w pewnym stopniu także inne ludy ówczesnego cywilizowanego świata. Mieszkańcy pogranicza Armenii i Azji Mniejszej (dzisiejszej Turcji) pierwsi nauczyli się wytapiać z rud żelazo i wykuwać z niego broń i narzędzia. Umiejętność tę przejęli niebawem od nich ich sąsiedzi i po kilku wiekach - mniej więcej trzy tysiące lat temu - upowszechniła się ona w krajach śródziemnomorskich.

Żelazne wyroby tylko pod jednym względem ustępowały brązowym: ulegały korozji pod wpływem czynników atmosferycznych, czyli mówiąc po prostu - rdzewiały. Miały natomiast ogromną w porównaniu z nimi zaletę: były znacznie tańsze, gdyż nadające się do wykorzystania rudy żelaza występują w tej części świata nieporównanie obficiej od rud metali będących składnikami brązu. Tak więc, dopiero w epoce żelaza narzędzia metalowe znalazły szerokie zastosowanie w produkcji, między innymi w rolnictwie. Brąz służył niemal wyłącznie wielmożom i wojownikom, żelazo także ludowi. Dlatego też niektórzy historycy nazywają je „metalem demokratycznym".



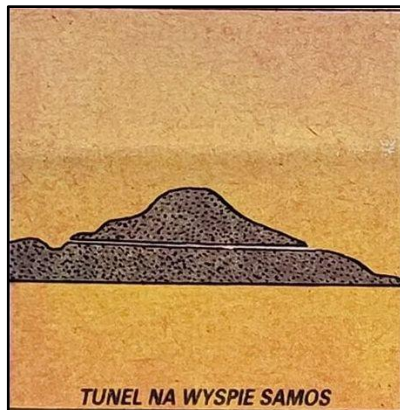
W ostatnim tysiącleciu dawnej ery uczyniono wiele dla ułatwienia i udogodnienia życia, dla podniesienia jego poziomu. Jednym z ważniejszych rozwiązanych wówczas problemów było zaopatrywanie miast w dobrą, nadającą się do picia wodę. Najchętniej doprowadzano ją - o ile tylko było to możliwe - ze źródeł i potoków górskich. Pierwsi dokonali tego Asyryjczycy, sprowadzając do swej stolicy - Niniwy - wodę z pobliskiej górskiej rzeki, którą w tym celu spiętrzyli tamą. Spływała ona stamtąd obmurowanym korytem, które poprowadzono nad przepaściami i innymi przeszkodami (między innymi także potokami) po kamiennych mostkach. Takie urządzenie, którym woda płynie grawitacyjnie (to- znaczy z góry na dół), nazywamy akweduktem.



AKWEDUKT RZYMSKI

W tym samym mniej więcej czasie Żydzi doprowadzili wodę do Jerozolimy. W przeciwieństwie do Asyryjczyków, będących podówczas potęgą i nie obawiających się najazdu na swój kraj, Żydzi żyli w stałym zagrożeniu ze strony pobliskich mocarstw, przede wszystkim zresztą Asyrii. Obawiając się by w razie oblężenia nieprzyjaciel nie odciął dopływu wody do miasta, poprowadzili ją potajemnie pod. ziemią. W tym celu zbudowali pierwszy znacznych rozmiarów tunel, o jakim wiemy (miał on pół kilometra długości). Warto dodać, że tunel jerozolimski nie biegł prosto - był kręty, wydrążono go bowiem poprzez miększe partie skały.

W niecałe dwa wieki później inżynier grecki Eupalinos z Megary zbudował na wyspie Samos pierwszy tunel w pełni zasługujący na swą nazwę wedle dzisiejszych pojęć. Doszło do tego również w związku z doprowadzaniem wody do miasta. Trzeba było w tym celu przebić masywną górę, piętrzącą się na drodze akweduktu. Tunel, mający przeszło kilometr długości, drążono jednocześnie z obu końców. Biegnie on w zasadzie prosto, z wyjątkiem niewielkiego załamania w miejscu gdzie spotkały się obie ekipy budowniczych.

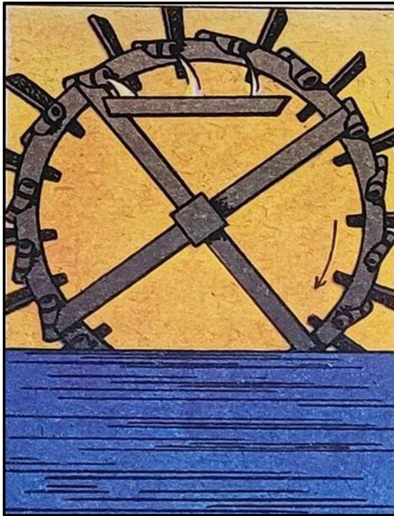


TUNEL NA WYSPIE SAMOS

Wodę poprowadzono nim w rurach z wypalonej gliny. Później, w ostatnich wiekach dawnej ery, coraz częściej stosowano w wodociągach miejskich rury metalowe, zazwyczaj z ołowiu. Te ostatnie musiały mieć niewątpliwie fatalny Wpływ na zdrowie użytkowników, ale z trujących własności ołowiu nie zdawano sobie sprawy aż do ostatnich stuleci. W greckim mieście Sybaris był nawet rurociąg, którym doprowadzano z portu przywożone statkami wino.

Zaopatrzenie w wodę bieżącą przyczyniło się do poprawy warunków higieny. Grecy dość powszechnie korzystali z natrysków. W pałacach w Asyrii i na Krecie pojawiły się pierwsze ustępy spłukiwane stałym przepływem bieżącej wody. Oczywiście, z tak wymyślnych udogodnień korzystały tylko wyższe warstwy ludności. Szary człowiek mógł jedynie zaczerpnąć wody w dostępnym publicznie miejscu, dokąd dostarczał ją akwedukt. Ale i to stanowiło wówczas nie lada wygodę.

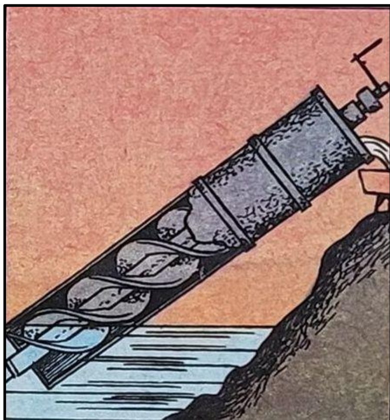
Nie zawsze jednak można było doprowadzać wodę grawitacyjnie, z wyżej położonych źródeł. Często trzeba ją było czerpać z płynącej doliną rzeki. Szczególny problem stanowiło to dla rolników, zwłaszcza w krajach tak gorących jak Egipt i Mezopotamia — nawadnianie pól uprawnych wymagało tam bowiem tak ogromnych ilości wody, że jej przeniesienie przez ludzi czy nawet juczne zwierzęta było po prostu niepodobieństwem. Toteż już starożytni Egipcjanie posługiwali się rozmaitymi, ułatwiającymi to zadanie urządzeniami. Od niepamiętnych czasów przelewali wodę do wyżej biegnących kanałów za pomocą szadufów, zbliżonych do żurawi studziennych. W ostatnim tysiącleciu dawnej ery stosowali także inne, wydajniejsze podnośniki, głównie specjalne koła (albo łańcuchy bez końca, rozpięte na dwóch kręcących się wałach) z czerpakami. Kiedy ludzie obracali takie koło, przymocowane do niego czerpaki, napełniały się wodą na dole, a wylewały ją na górze. Pod koniec dawnej ery dwóch



ważnych wynalazków w tej dziedzinie dokonali Grecy. Uczony Archimedes, żyjący w Syrakuzach na Sycylii (wówczas jednej z głów-



nych kolonii greckich), skonstruował pomysłowy podnośnik wody w kształcie śruby bez końca, stosowany do dziś i nadal zwany śrubą Archimedesa. A jego rodak Ktesibios, mie-



szkający w Aleksandrii w Egipcie (będącej wówczas miastem na wpół greckim), zbudował pompę tłokową, z której również wciąż korzystamy.

W ostatnich wiekach dawnej ery zaczęto do napędu owych podnośników wodnych i innych urządzeń produkcyjnych, głównie młynów zbożowych, zaprzęgać zwierzęta - przede wszystkim osły i muły. Obracały one, chodząc w kółko, tak zwany kierat, który można tu i ówdzie jeszcze dzisiaj zobaczyć na naszej wsi. Zastąpienie ludzi zwierzętami przy tej wyczerpującej i monotonnej pracy było istotnym krokiem naprzód. Poza tym opłacało się, ponieważ osioł jest wytrzymalszy, od człowieka i ma o wiele mniejsze potrzeby i wymagania - można go zatem znacznie taniej utrzymać.

Już najdawniejsze osiedla zabezpieczano obwarowaniami przed napadem. Z czasem, kiedy wyrosły wielkie i bogate miasta — otaczano je odpowiednimi, często imponującymi fortyfikacjami. Mury Babilonu — zaliczane do starożytnych „cudów świata" miały podobno ponad dwadzieścia metrów wysokości i taką grubość, że na ich szczycie mogłyby się bez trudu wyminąć cztery rydwany.

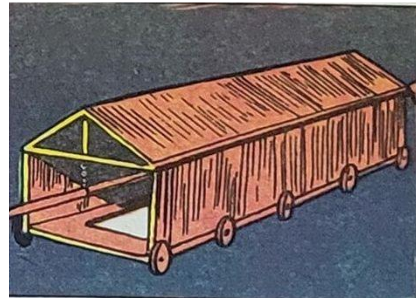
Skoro wznoszono fortyfikacje, ci, którzy chcieli je zdobywać musieli wynaleźć nadający się do tego sprzęt. Pierwsze świadectwa pomysłowości w tej dziedzinie pochodzą sprzed blisko trzech tysięcy lat. Wtedy to wojowniczy i zaborczy Asyryjczycy zaczęli się posługiwać machinami oblężniczymi - wysokimi wieżami na kołach, zbliżonymi do znanych Wam z „Trylogii" Sienkiewicza hulajgrodów.



Ruchoma wieża oblężnicza spełniała kilka zadań. Chroniła w swym wnętrzu wojowników podczas zbliżania się do murów, ułatwiała wdarcie się na nie w czasie szturmu, a znajdujący się na jej szczycie łucznicy zasypywali pociskami oblężonych, utrudniając im obronę. Dodatkowo, przez otwór w dolnej części wieży wysuwano ciężką, okutą belkę — czyli tak zwany taran — usiłując nią uczynić wyłom w murze, a przede wszystkim wyłamać bramę.

W ostatnich wiekach dawnej ery Grecy posługiwali się tak wielkimi i ciężkimi podobnymi wieżami, że podtaczanie ich do nieprzyjacielskich umocnień trwało całymi tygodniami i wymagało niekiedy pracy tysięcy ludzi. Najpotężniejsza z nich, użyta podczas oblężenia Rodos, miała — wedle ówczesnych świadectw — około czterdziestu metrów wysokości i musiała ważyć blisko dwustu ton.

W tym czasie Grecy konstruowali także inne machiny wojenne, głównie rozmaite miotacze kamieni i innych pocisków, zwane katapultami. Podczas bitwy morskiej wyrzucano z nich sieci wypełnione kamieniami - celne trafienie w żagiel powodowało wywrócenie się nieprzyjacielskiego okrętu. Zachowały się wieści o szczególnie wymyślnych i skutecznych machinach wojennych, które wspomniany już Archimedes miał konstruować dla obrony swych rodzinnych Syrakuz, kiedy oblegli je Rzymianie.





Po odjeździe syna cesarz ma większą swobodę działania. Wobec nieuniknionej klęski pragnie zginąć śmiercią żołnierza. Świadomie wystawia się na niebezpieczeństwo, nie oszczędza życia, całe dnie spędza na koniu, wśród świstu kul. Ileż razy pociski rozrywają się prawie pod kopytami ulubieńca - Hero! Niestety, wszystkie go omijają. Obok niego giną ludzie, Napoleon III - choć szuka śmierci - z każdej potyczki wychodzi nietknięty.

A potem już Sedan i koniec. Armia francuska otoczona przez Prusaków w leju, na dnie którego leży miasto, wprowadzona tam wbrew woli cesarza, ma tylko dwa wyjścia: przebić się przez linie wroga i zginąć lub złożyć broń. Cesarz wybiera to drugie. Oddaje szpadę. Nie chce dopuścić do niepotrzebnej już masakry swoich oddziałów.

Ustanawiając się jeńcem króla pruskiego Napoleon III ma nadzieję ułatwić pokojowe pertraktacje. Czyż Rosja po wojnie krymskiej zrzuciła cara z tronu? - myśli cesarz. Czyż Austria przegrawszy kampanię włoską i decydującą bitwę pod Sadową potępiła Franciszka Józefa? Dlaczego Francja poszła inną drogą? Może nie byłaby utraciła Alzacji i Lotaryngii i nie musiała płacić pięciu miliardów kontrybucji?

* * *

- Starsi uczniowie ćwiczą musztrę - Antoś zziajany padł na dziadusiowy fotel. - Widziałem, na dziedzińcu szkoły. Wszyscy pójdą na wojnę. Ja też. — Popatrzył wyzywająco na siostrę.
- Jesteś za młody — stwierdziła krótko Róża.
- Jak to, za młody? A Lulu? Mam tyle samo lat, co on.
- Któż by się mną opiekował? Mną i Zelią? Nie możesz nas opuścić.
- Prawda - przyznał niechętnie. - Przyrzekłem Dziadusiowi.
- Widzisz. W takich czasach nie trzeba się rozstawać. Nie wiadomo, co jeszcze będzie.

Antoś całe dnie spędzał poza domem. Sam teraz uganiał się po Paryżu. Krążył między Szkołą Narodową Polską na Batignolles, a bulwarem Montparnasse, gdzie co dzień prawie bywał „po wiadomości".

Wyręczał w tym siostrę, bo Róża nie miała teraz czasu na wizyty, pieniędzy było mniej i należało więcej pracować.

Podczas jej ostatniej bytności u rodaków, pan Hutorowicz uspokoił ją co do losu człowieka napadniętego na dziedzińcu Tuilerłów.

- Nie pamiętam, czy pani mówiłem - zaczął. — Ten człowiek, na którego zaczaiły się zbiry...
- Bardzo się o niego martwię - przerwała.
- Już niepotrzebnie - uśmiechnął się. - Na szczęście przyszedł mu z pomocą służący, który na niego czekał na ulicy Rivoli. To wyjątkowo dzielny człowiek. I we dwóch... A wie pani - spojrzał bystro na dziewczynę. - Ten nieznajomy, to bohater z Nowej Kaledonii.
- Co pan mówi? Więc żyje! Jakie szczęście!
- Żyje. Był ranny. Po tej ekspedycji została mu pamiątka na całe życie: szrama na skroni.
- A... Berezowski?
- Berezowski... - pan Hutorowicz spuścił głowę. - Lepiej by dla niego było nie żyć - dokończył ciszej.
- A ten napad? Ta zasadzka w Tuileriach? Kto to? Przecież to Polacy... Czy Damian?

Dokończenie na str. 7